№ 38 Warszawa, dnia 5 (17) Września roku 1881.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Krolestwie, kwartalnie rs. 2 kop 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu zlr. 3 na prowincyi z przesyłką pocztową zlr. 3 c 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu zlr. 2 c. 75 na prowincyi zlr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

Od Redakcyi.

W kwartale czwartym r. b. pismo Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi co dotąd warunkami. Przypominamy, że prenumeratę najlepiej jest uskuteczniać *bez żadnego pośrednictwa* w samej Redakcyi, bo tylko tym jedynie sposobem regularne odbieranie numerów może mieć miejsce.

Cena prenumeraty pozostaje ta sama, a mianowicie:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.
Półrocznie . . . . . rs. 2.
Rocznie . . . . . . rs. 4.

MĘTY SPOŁECZNE.

Powiadają, że w mętnej wodzie łatwo ryby łowić, a w zmąconem społeczeństwie już co najmniej... naśmiewać się z jego dobroduszności.

Wprawdzie gdzie męty tam ferment, gdzie go nie ma tam śmierć i rozkład ostateczny. Społeczność żyjąca musi fermentować, bo tylko tym sposobem pnie się ku postępowi: czynność tę jednak posuwając do ostateczności, mętom nie da się osadzać i trzymając je w zawieszeniu, zużywa daremnie siły z wielką ogółu szkodą.

Coś podobnego dzieje się u nas teraz, a powodem książka pana Chmielowskiego o literaturze polskiej z ostatnich lat szesnastu, która, mówiąc otwarcie, zupełnie niepotrzebnie poruszyła przycichłą walkę, tak nazwaną starych z młodymi. „Kuryer Warszawski" w osobie pana Goraya, starł ją na proch z widocznem zadowoleniem, że mu się przedmiot do tego nadarzył: pisma uważające się za postępowe stanęły w obronie i nie zbijając fałszywości zarzutów, nie dowodząc wartości samej pracy, rzuciły się z ogniem i mieczem na starych pióra pracowników, przypisując jedynie młodym tchnienie nowego życia w pracę społeczną we wszystkich jej kierunkach.

W tej chwili przyszło mi do myśli spotkanie się z jednym z moich koleżków, ze szkół jeszcze księży Pijarów, poczciwym Kubusiem. Lat to temu niemało; — połowa dzisiejszych literatów kołyską się jeszcze wówczas zabawiała, a druga połowa zapewnie jeździła na drewnianych konikach potrząsając biczykiem.

Otóż jednego dnia Kubusia spotkałem w Saskim Ogrodzie, a był już powagą nielada bo dziennikarzem. Szedł ze zwieszoną głową i z miną niezmiernie skwaszoną. Nie widząc go dawno, ucieszyłem się spotkaniem i zawołałem z żywą radością:

— Kubusiu, poczciwino, jak mi się miewasz?

— A i czegóż tak krzyczysz? zapytał krzywiąc się i oglądając wkoło, notabene niezmiernie przyciszonym głosem, prawie do szeptu zbliżonym.

— Albo co? zapytałem zbity cokolwiek w ferworze.

— Wszelkie podobnie głośne rozmowy, odrzekł Kubuś, wyszły u nas z mody zupełnie.

— A zatem, witam cię Kubusiu! wyrzekłem cichutkim głosikiem i nie wiedząc z jakiej zacząć beczki, dodałem:

— Bogu dzięki, mamy dzisiaj pogodę. Po wczorajszej burzy...

Kubuś znowu się obejrzał i przysuwając się ku mnie, szepnął:

— Tylko o burzy nie mów tak głośno: bo jakby kto usłyszał...

I ja się także obejrzałem: byliśmy w alei prawie sami, tylko na kasztanie krakała wrona, ogonem ku nam zwrócona. Wyraźnie za nic nas miała.

— Ah! ty niegodziwa! zawołałem mierząc do niej laską jak z dubeltówki i jednocześnie naśladując wystrzał krzyknąłem: paf!

— Człowieku, czyś ty oszalał, strzelać w publicznym ogrodzie...

— Ej! przecieć kij to nie broń palna, odrzekłem z uśmiechem.

— Tak, tak, śmiej się, odezwał się Kubuś, a czy zapomniałeś o przysłowie, że jak Bóg dopuści to i z kija puści.

— A to już byłby cud prawdziwy a podobnych cudów dziś już nie przypuszczają.

— Przypuszczą, nawet i postrzelenie wrony gdy tego będzie potrzeba.

— Masz tobie, a toś mnie dopiero zajechał.

— Ba! czyż to nie jestem dziennikarzem.

— Pal więc sęk wronę...

— A niech idzie sobie na leśne pustkowia, przerwał Kubuś, ale muszę zwrócić twoją uwagę na niewłaściwość wysławiania. Wykrzyknik: pal! strasznie podejrzany, podszyć można pod niego Bóg wie nieco, a tego unikać należy.

Westchnąłem i milcząc weszliśmy w ostatnią aleję od ulicy Niecałej. Tam nie było nikogo, mogliśmy więc swobodniej rozmawiać.

— Przed laty kilku, odezwałem się, aleja ta tąk była gąszczem prawdziwie leśnym objęta, że mnóstwo w nim gnieździło się ptaków śpiewających, nawet słowiki piały swoje kuranty.

— Pamiętam to, ogród wtedy prawie zagłuszał szczebiotem ptactwa trajkot gwaru miejskiego.

— Dziś, patrz jak się wszystko zmieniło, mówiłem dalej. Gdzie się zwrócić, wszędzie pustka i zaniedbanie, ni gąszczu, ni ptactwa, baryerki przy trawnikach wyłamane, ławki w połowie spróchniałe, krzewy poniszczone; gdy tak dalej pójdzie, ogród zamieni się pomału w wyręb leśny, pniami tylko sterczący.

— To być bardzo może, potwierdził Kubuś, ale cóż na to poradzić?

— Należałoby przemówić, ująć się, wszakże to...

— I dostać guza, nie głupim.

Spojrzałem zdziwiony.

— I cóż patrzysz na mnie tak wielkiemi oczami? zapytał Kubuś. Jeszcze raz ci powiem: nie głupim wtykać palce w szparę drzwi zamykających się.

— Nie rozumiem cię mój kochany.

— Ba! i ja nie rozumiem, ale widzisz mój pryncypał żyje w niezmiernej przyjaźni z Ogrodem Saskim, gdybym więc mu co przypiekł, mógłbym go poróżnić z pryncypałem, a na mnie wszystkoby się skrupiło. Wszak znasz przysłowie, że pan z panem się pogodzi a chłop w skórę dostanie.

— Ejże!

— A ejże, ejże! mówię to z doświadczenia.

— A zatem, o Ogrodzie Saskim ani słówka? zapytałem.

— To się rozumie, nawet mruknąwszy można ząb postradać.

— Wiesz co, że dałoby się z tego ucieszną krotochwilę napisać.

— Sprobój.

— Kto wie czy tego nie zrobię.

— A i cóż ci z tego przyjdzie?

— Dam ją do teatru.

— Aha! trafiłeś jak kulą w płot. Teatr bawić powinien a nie uczyć a tembardziej krytykować, zresztą plugastw i głupstw scenicznych zagranica tak wiele produkuje, że zaspakaja potrzeby wszystkich teatrów na świecie. Pocóż więc utworami oryginalnemi posługiwać się, kiedy przyswajanie obcych taniej kosztuje i stanowi korzyść niepodzielną dla tych co się nim zajmują.

— Przesadzasz mój bracie, zawołałem. Przecie utwory Fredry, Korzeniowskiego często scena przedstawia.

— A tak, potwierdził Kubuś, ale zapominasz, że Fredro to stary znajomy, Korzeniowski dygnitarz, a ty chudy pachołek.

— A! jeżeli tu chude pacholstwo gra jakąś rolę, zawołałem, to należałoby kwestyą tę podnieść, roztrząsnąć, wykazać całą...

— Brawo! zawołał Kubuś i zaraz starannie obejrzał, się a potem głos przyciszając mówił dalej: Czyś ty z pustyni przybył i nie wiesz co ziębi a co grzeje? Gdybym słówko pisnął w tym przedmiocie, pryncypał mój dałby mi gratyfikacyą, której anibym przełknął ani strawił. On z teatrem za panie brat, a nie wiesz to, że ręka rękę myje, noga nogę wspiera.

— No, to możnaby rzecz całą zamknąć w ogólnym poglądzie na sztukę i jej przeznaczenie.

— Baj baju będziesz w raju, mruknął mój przyjaciel. W ogólnikach wszystkiego można się domyślać i w każdej myśli znaleźć przyczepkę do tego co chcemy, a wówczas mój pryncypalik, szczególniej gdy w złym humorze, tak przerabia, chlaszcze i zmienia, że z kozła robi barana, czyli z najrozumniej przygotowanego referatu takie pokiereszowane głupstwo, że sam siebie zaczynasz o bzika posądzać.

— To smutne, bardzo smutne.

— Jużcić niewesołe.

— Artystów mamy wybornych.

— Powiedz przewybornych.

— Mówcież więc choć o nich jak najwięcej.

— Ba! mówimy o ile można.

— Jakto?

— A tak, i tu są zapory, granice, wyjątki, okoliczności...

— No, no, i cóż tam więcej?

— O! tego więcej jest spora kupka, ale o jednem tylko napomknę. Między artystami jak zwykle na świecie, są zawiści, nieporozumienia, plotki i intrygi. Stosownie do tego, jednych teatr bierze w opiekę, drugich odrzuca ze swej łaski, gdy więc chwalisz będącego w niełasce a ganisz protegowanego, teatr się zżyma, pędzi ze skargą do mego pryncypała, a ten zaraz po tynbinkach i nuż mi grozić na nosie. To też unikając tej smutnej alternatywy i nie wiedząc jak stoi barometr niezmiernie zmienny, łaski i niełaski artystów, to co mam o grze ich rozpleść po świecie, najprzód recytuję teatrowi, potem pryncypałowi, ten porwie to, tamten owo, ten mi pogrozi palcem, tamten dwoma, poprawi, przemieni, i z tego wychodzi często śmieszna a czasem tak potworna karykatura, że rozpatrując się w niej uśmiecham się i pokręcam głową z podziwu nad jej niezdarnością.

— Kubusiu, przesadzasz! zawołałem parskając głośnym śmiechem.

— Cyt! syknął Kubuś prostując się jak żóraw stojący na straży z nogą jedną pod siebie zwiniętą: dobrze ułożony nie ulega ani zbytniej radości, ani zbyt widocznemu smutkowi, bo to stan bardzo podejrzany, i powinien być zawsze jak woda letnia, co nie ziębi ani parzy.

— A niech ci się nóżka podbije na bruku warszawskim!

— Janciu! zawołał Kubuś, tylko o bruku warszawskim ani słowa! Osoba to strasznie drażliwa na przycinki podobnego rodzaju.

— To niechże ci nos spuchnie przy utknięciu na pierwszą latarnię, której nie dojrzysz pomimo płomyka ją oświetlającego.

— A jakiś ty niepoprawiony w wyborze przedmiotu do rozmowy.

— Jakto? zapytałem, czy i ten...

— Ma się rozumiéć, przerwał Kubuś. Kwestye to czysto ekonomiczne, a ekonomika to jaśnie wielmożna, przed którą możemy tylko czapkować ale rozpatrywać się wara!

— Dobrze żeś wspomniał o ekonomii, czyli o gospodarstwie narodowem...

— Radzę ci, przerwał Kubuś, pozostać przy pierwszej nazwie ekonomii, bo ta druga nazwa cokolwiek za butnie się przedstawia.

— Niechże będzie i ekonomia, radbym o niej troszkę pogawędzić.

— I o czem to naprzykład?

— O sposobach dźwignięcia rolnictwa, handlu, przemysłu, rzemiosł, o potrzebie podniesienia oświaty ogólnej, o zakładaniu po wsiach i miasteczkach szkółek, ułatwieniu kredytu, zawiązywania spółek, stowarzyszeń...

— Tylko stowarzyszenia zostaw na boku.

— Ah! jakiś ty nudny z temi przerwami przy wyrazach pojedyńczych.

— Ba! kiedy przestroga jest konieczną. Ale mów dalej.

— Mówmy więc o tem com ci wymienił, to wszystko przecie podnosi dobro społeczne, wyprowadza z odrętwienia, hartuje, bogaci...

— A to poco?

— Dziwne pytanie!

— Czyś zapomniał o tym pewniku filozoficznym, że kto śpi to nie grzeszy?

— Więc cóż z tego?

— At! wniosek oczywisty, że sen wiedzie do raju a dukat do pokusy i różnych niepotrzebnych zachciewek; bogacenie więc to droga do piekła, a ekonomika co je doradza, niegodziwość godna chłosty publicznej.

— A zatem, o tych przedmiotach tak ważnych ani słowa?

— Ani słóweczka! odrzekł Kubuś, a nawet radzę ci niebardzo wydawać się z pociągiem do ekonomiki bo i to podejrzane.

— No, to już tak mnie osaczyłeś jak dzika w kniei, strzel mi w łeb a nie wiem z jakiej beczki mam z tobą prowadzić rozmowę.

— Nie dziwię się temu, bo i ja nie wiem chociaż już jestem szczwanym lisem umiejącym dobrze zwodzić kitą pogoń zziajanych za sobą chartów. Ale czekaj, mam przedmiot treści czysto ekonomicznej, o którym możemy z całą otwartością rozmawiać.

— Ciekawym bardzo.

Kubuś zatrzymał się i stając w postawie jakby natchnionego, zaczął deklamować: w lodach oceanu przy biegunie północnym, w tych przestrzeniach tajemniczych, nieznających jeszcze człowieka, okręt od lat dwóch zamrożony i wydobyty z uwięzi, wypłynął szczęśliwie na obszar wód wolnej żeglugi i minąwszy brzegi Szwecyi spotkał w pewnej odległości straszny potwór zwany wężem morskim, który wystawiwszy łeb do góry na wysokość wieży katedralnej, rzucił ogromnemi swemi ślepiami spojrzenie tak groźne ku okrętowi, że cała osada jakby piorunem rażona struchlała. Gdy przyszła do przytomności, potwór wijąc się i kłębiąc olbrzymiem cielskiem, zaczął sunąć się ku niej: okręt rozwinął wszystkie żagle i dalej drapaka, wąż prosto ku niej pędził... rozpoczęła się gonitwa...

— Ej! bredzisz! przerwałem z gniewem.

— Profanie! zawołał Kubuś, a toć kwestya, dotykająca najżywotniejszych interesów gospodarstwa społecznego. Potwór ten toć przecie zwierzę a do świata zwierzęcego i człowiek należy; biegun zaś północny to kończyny morza lodowatego, a wiesz przecie, że lody fabrykacyi Kontego, Loursa i t. d. stanowią przysmak, którym nikt nie gardzi. W wiadomości więc tej, człowiek i jego pokarm są podniesione, czyż to zatem nie kwestye ekonomiczne i to najczystszej wody?

— Niechże i tak będzie, odrzekłem, zwłaszcza że w tej chwili czuję się zwierzęciem, bom głodny, a człowiekiem, bom żądny dowiedzieć się co tam słychać w świecie. Pójdźmy więc do jakiej

jadalni między ludzi, bo od ciebie jak widzę niczego się nie dowiem.

— W części masz słuszność, a tego ważna przyczyna. Kiedyś i ja tem zapytaniem, co tam słychać? bardzo lubiłem szastać. Doszło to do wiedzy mego pryncypała, pociągnął mnie więc za ucho że aż mi świeczki w oczach stanęły i zapytał: co ty za plotki siejesz po świecie? Ja? panie, odrzekłem z najpotulniejszą miną, ja który brzydzę się plotkami jak grzechem śmiertelnym, miałbym się niemi zabawiać?

Pryncypał patrząc na mój przestrach, raczył uśmiechnąć się dobrotliwie i rzekł:

— Lojalny widzę jesteś, co mnie cieszy niewymownie, powiedz mi jednak, jak się spotkasz z kim, co mówisz do niego?

— Najprzód pytam go się, odrzekłem przychylony ledwo że nie do ziemi, jak się masz?

— Bardzo dobrze, a potem?

— Potem, pytam się, cóż tam słychać?

— A widzisz, ot i początek plotki, bo co ty albo podobni tobie mogą wiedzieć co słychać? Pytać się więc jak się masz? możesz tyle razy ile ci się tylko spodoba, ale co tam słychać? to niech cię Bóg od tego zachowa. Gdy cię pali ciekawość, to z tem zapytaniem przyjdź do mnie, a ja cię najlepiej zawiadomię, bo wiesz że z obowiązku mego muszę wszystko wiedzieć. Unikniesz przez to plotkarstwa, bo inaczej poślę cię na korespondenta gdzie pieprz nie rośnie, rozumiesz?

Od tego też czasu, mój Janku kochany, do zapytania: co tam słychać? nabrałem wstrętu niepokonanego, który radbym żebyś i ty ze mną podzielił.

— Ha! cóż robić, odrzekłem, to i podzielę; ażeby ten podarunek lepiej utwierdzić, pójdź przekąsimy co i wypijemy butelczynę podpiwku.

— Zgoda! odrzekł Kubuś biorąc mnie pod pachę, ale dla lepszego upozorowania, że nie rozmowa była celem naszego spotkania tylko napitek, każesz garsonowi postawić parę próżnych butelek, aby na wypadek spotkania się z moim pryncypałem, miał dowód jasny, że nie siedzimy przy jednej butelczynie i to najtańszego trunku.

— Jakto, czy i to mogłoby mu się nie spodobać?

— Ba! raz doskonale wyłajał, gdy mnie spotkał we dwóch przy półbutelce. Ho! ho! rzekł, półbuteleczka na dwóch to za mało, widać że ploteczki głównym tu traktamentem. Zapiszę ja to sobie w pamięci. Przyrzeczenie to przeszło nam mrowiem po skórze, ale od tego czasu zmądrzałem ratuję się próżnemi butelkami, żeby się zasłonić przed podejrzeniem plotkarstwa.

— Ej! przesadzasz Kubusiu.

— Tak mówi wielu i nie chce wierzyć, a jednak Bóg mi świadkiem że nic nie dodaję.

W pół godziny później, w gronku zwiększonem towarzyszami Kubusia, siedzieliśmy przy lampeczkach.

Otóż i koniec opisu spotkania mego z Kubusiem. Gdyby w dzisiejszych młodych szermierzach mniej było buty a więcej sprawiedliwości, mniej zarozumienia a więcej skromności, to stanąwszy na szczeblu dozwalającego mu z pewną swobodą rozglądać się i w prawo i w lewo, nie kopaliby z pogardą tych co go przygotowali, nie głosiliby, że od nich wszystko wzięło dopiero początek i zawsze mieliby w pamięci, że łańcuch życia społecznego w kuźni dalekiej przeszłości ukuty, ciągnie się przez długie wieki, każde pokolenie dorabia do niego jedno ogniwo z materyałów jakich może użyć, i że zasługa jego wielka, gdy pracy tej nie zaniedbało.

Być może, że w pracy starego pokolenia znajdą się usterki godne przygany, ale czyż w nowych pracownikach wszystko będzie doskonałością co przedsiębiorą? Jeżeli zaś te usterki widzą i wytykają, to rzecz zupełnie naturalna, nawet obowiązkowa.

Dzisiejszemu można przyznać usiłowania, aby się to nie stało, ale żeby mu już dziś bić oklaski uwielbienia, to troszkę zawcześnie. Tę cześć może mu wyrządzić tylko przyszłość. Niwa gospodarcza całego roku potrzebuje, aby plon wydać i poddać go obliczeniu; niwa społeczna lat długich aby się w jego zbiorze dało rozpatrzyć i ocenić według zasługi. Dzisiejsze pokolenie radeby chwilę tę przybliżyć i w nierozważnym gniewie miota się, że mu już za życia nie stawiają pomników uwielbienia. Ztąd zamęt, marnowanie sił najwięcej obiecujących i łajania pracowników zmarłych i stojących nad grobem, że nie chcą mu przyznać tego czego tak gwałtem pragnie.

Jeżeli starzy źle pracowali i błąkali się po szlakach nieprodukcyjnych, pracujcie lepiej i w kierunku praktyczniejszym, a to najlepiej za wami przemówi i przygotuje wieniec zasługi, który się przebiegiem lat szesnastu nie zdobywa. Na to trzeba dłuższego cokolwiek czasu, życia całego a wyście, i to nie wszyscy, mniejszą jego połowę zaledwie przebyli. Ta to żądza chwycenia korzyści przed pracą trując wam życie, wywołując nieskończone łajania na wszystko co was uprzedziło, tworzy ów zamęt, w którym męty chwilowo opadłe znowu podnoszą się i wywołują próżną słów szermierkę aż do ckliwości posuniętą. Porzućcie ją, na tej drodze nic nie zbudujecie, tylko własne zadowolenie, którego opinia kraju nie podzieli. Wartość krzyków prasy peryodycznej znana jej dobrze; czyta je ale się niemi nie rządzi i nie przyznaje wam prawa nauczycieli, których młódź bezwarunkowo słuchać powinna.

Wy pójdziecie za swojem przekonaniem, a kraj za własnem zdaniem, wam wstyd przyniesie a sobie rozczarowanie, że ci którzy mu się pragnęli narzucić na przewodników, nie są wcale takiemi wielkościami za jakie się wzajemnie ogłaszają.

J. K. G.

Z NADOBNEGO ŚWIATA.

Ustępy luźne.

I.

Kobieto puchu marny!

Puchu marny, a tak miły,
Ze nam ciernie życia słodzisz,
I potęgą skrytej siły,
Tak zgrabniutko za nos wodzisz,
Iż się człowiek nie spostrzeże,
Jak twa przemoc górę bierze.
Puchu marny! świat bez ciebie,
Byłby smutny i ponury,
Jak śpiew tęskny na pogrzebie...
Tyś ostatni twor natury,
Pieszczotliwie wykończony,
I dlatego... rozpieszczony...
W tem sens cały twego bytu...

Tyś poezyą stworzenia,
Co podnosi do zachwytu
Nas, stworzonych do myślenia,
Do wysileń i do pracy...
Ty królujesz, my — dworacy...
Siła, wola, myśl, natchnienie,
Co na ziemi cuda tworzą,
Na milutkie twe skinienie
Dobrowolnie tak się korzą,
Że cozechcesz, to sprostujesz,
Przeinaczysz lub... zepsujesz...

Na tej wielkiej targowicy,
Gdzie dążenia się ścierają,
Gdzie odważni bojownicy,
To się wznoszą, to padają,
Puchu marny, ty rej wodzisz,
Uszczęśliwiasz, albo... zwodzisz...

W każdej walce, w każdej sprawie,
Bez wyjątku w każdym domu,
Przy modlitwie, czy zabawie,
Twój paluszek pokryjomu,
Tak przebiegle rzecz potrąci,
Że co jasne, wnet zamąci...

Świat ulega twej potędze,
Choć żartuje z twej niemocy...

Ty nam barwisz życia przędzę
I udzielasz swej pomocy,
Kiedy proza tego świata,
Zbyt nas nuży i przygniata,
Śród niewoli na tej ziemi,
Ty nam radość niesiesz w darze;
Gdy stoimy w smutku niemi,
Twa zachęta walczyć każe:
Jeden uśmiech, dłoń podana,
Nas orzeźwia, jak wygrana...

Któż nie doznał twego wpływu,
Lub nie szalał z twej przyczyny?
Kto nie wielbił do podziwu
I nie padał z twojej winy?

Nasze hołdy ciebie cieszą;
Nasze żale... tylko śmieszą...

Niech tam mędrcy co chcą prawią
O twem wielkiem powołaniu:
Słowa mędrców ciebie bawią
I podnoszą w twe mniemaniu...
Za morały im dziękujesz,
Lecz z mądrości ich żartujesz;
Bo gdy oni głowy suszą
Nad twą rolą niezbadaną,
Ty się bawisz całą duszą,
Lub rozmyślasz... nad falbaną...

I świat idzie zwykłym torem:
Twa niestałość jest dlań wzorem...

Na przekorę twej płochości,
Świat uwielbia twoje cnoty;
W tobie szuka szczęśliwości,
A dla ciebie ma pieszczoty...

I podobno tak już będzie
Po wsze czasy, tu i wszędzie...

I ja temu się nie dziwię:
Urok życia wabi w świecie...
A bez ciebie o, prawdziwie
Źle by było na tym świecie...

Mniej by może było grzechu,
Lecz nie byłoby uśmiechu...

Kto cię jednak tak miłuje,
Że się staje twoim cieniem,
Ja go w duchu pożałuję,
Lecz nie rzucę weń kamieniem...

Bo, dalipan... mówiąc szczerze...
Żal za grzechy i mnie bierze...

II

ZAGADKA.

Młodej filutki
Uśmiech milutki
Buzię otwiera...
Buzia to mowna,
Kształtna, czarowna,
Nektar zawiera...

Młodej filutki
Uśmiech milutki
Ząbki odkrywa...
Ząbki to małe,
Ostre i białe...
Nic im nie zbywa...

Młoda filutka
Zwinna, milutka,
Dołki ma ładne...
Jak się mieć będzie
Kto je zdobędzie?
Tego nie zgadnę...

Dr. Rudolf Rożniatowski.

PRUSACY W FRANKFURCIE.

Przez

ALEKSANDRA DUMASA.

Przekład

J. B.

TOM II.

(Dalszy ciąg.)

We dwie godzin potem wysłał rozkaz senatorom Fellnerowi Müllerowi, zawiadamiający: iż ponieważ kraj nieprzyjacielski winien zaopatrywać wojsko we wszelkie potrzeby, zatem podlegające zarządowi i rozkazom jego miasto Frankfurt, ma dostarczyć dla armii Menu:

1) Po parze butów dla każdego żołnierza, według danego wzoru;

2) Trzysta doskonałych wytresowanych do wierzchu koni, dla zastąpienia zabitych w bitwie;

3) Zapłacić roczny żołd dla armii Menu, i nadesłać całą potrzebną na ten cel sumę do kasy wojskowej.

W zamian miasto Frankfurt zwolnione będzie od wszelkich dostaw w naturze, z wyjątkiem cygar. Nadto jenerał obiecuje ograniczyć ciężary kwaterunkowe do niezbędnych potrzeb.

Suma wymagana na żołd dla armii Menu, dochodziła 7,747,008 florenów. Obaj wzmiankowani senatorowie udali się do kwatery głównej dla przedstawienia niewykonalności podobnego rozkazu. Jenerał Falkenstein powitał ich temi słowy:

— No, przynosicie mi pieniądze?

— Przychodzimy przedstawić waszej ekscelencyi, rzekł pan Fellner, że ponieważ władze miejskie zostały rozwiązane, zatem nie mogą wydać nam upoważnienia dla wypłaty podobnej sumy.

— Nic mnie to nie obchodzi, podbiłem kraj ten, więc nakładam kontrybucyą. Są to prawa wojny.

— Czy wasza ekscelencya pozwoli mi zwrócić swoją uwagę, iż nie zdobywa się tego kto się nie broni, odrzekł pan Fellner. Frankfurt, jako miasto wolne, broniony jest przez traktaty, i ani w myśli mu nie powstało bronić się samemu.

— Frankfurt znalazł w swej kasie 24,000,000 dla Austryaków, krzyknął jenerał, musi też znaleźć dla nas 15 do 16 milionów — w przeciwnym razie sam postaram się je odszukać. Nakażę czterogodzinny rabunek, a przekonamy się z łatwością, że ulica Żydowska i kasy waszych bankierów dostarczą wnet dwa razy więcej.

— Nie przypuszczam nawet, jenerale, aby Niemcy mogli podobnie obchodzić się z Niemcami, odrzekł zimno Fellner.

— A któż wam mówi o Niemcach! krzyknął, mam pułki polskie, które w tym celu przyłączyłem do wyprawy.

— Nic złego nigdy nie zrobiliśmy Polakom; ilekroć potrzebowali schronienia, zawsze ofiarowaliśmy je im chętnie, nie są więc naszymi nieprzyjaciołmi, a zanadto szlachetni, aby mieli rabować.

— Zobaczymy! krzyknął jenerał, tupiąc nogami i wygłaszając jedno z tych zaklęć, jakich monopol sami jedynie posiadają Prusacy. Nic mnie to zupełnie nie obchodzi, dodał, że nazwą mnie drugim księciem Alby.

XXXII.

W którym zaczyna się sprawdzać przepowiednia Benedykta.

Im więcej jenerał rozpalał się i unosił gniewem, tem zimniejszą krew zachował burmistrz; wyjął z kieszeni papier, mówiąc:

— Dnia 22 października 1792 r. naczelny jenerał Custine, pod pozorem, że Fraakfurt wyrabiał fałszywe asygnaty; że dawał schronienie emigrantom; ze przechowywał jenerała arystokratę — co wszystko było równie nieprawdziwem jak obecnie czynione nam zarzuty, nałożył na miasto kontrybucyą 2,000,000 florenów, z których tylko milion został zapłacony. Otóż minister Roland, człowiek prawy i sprawiedliwy, zareklamował przeciw tej kontrybucyi do ministra spraw zagranicznych. Odczytam panu jenerałowi parę ustępów tej reklamacyi.

— To zupełnie niepotrzebne, odrzekł jenerał.

— Owszem, bardzo potrzebne, odrzekł kłaniając się burmistrz, gdyż wykaże to panu jak przemawiali o nas i o sobie ludzie co nazwiska swoje zapisali na kartach historyi.

„Świadomość naszej siły, mówił Roland, nie powinna czynić nas nieczułymi na sławę a tem więcej na sprawiedliwość. Wprawdzie Frankfurt jest miastem wolnem, ale jego położenie, stosunki polityczne a szczególniej słabość własna, czynią go stanem niezależnym.

„Jako członek Rzeszy złożonej z państw niemieckich, Frankfurt nie mógł stawić opozycyi większości Sejmu niemieckiego, nakazującego mu postawić swój kontyngens na stopie wojennej. Fakt ten, na którym głównie opierają się zarzuty czynione temu miastu, nie usprawiedliwia bynajmniej uczynionego mu zarzutu oskarżającego o niechęć i znieważanie naszej rewolucyi. Jakąż mogą mieć wagę w oczach wielkiego narodu nędzne szykany wymyślane przeciw tej rzeczypospolitej, za jej mniemane przeciwko nam wykroczenia."

Zbiwszy nieuzasadnione oskarżenia, Roland mówi dalej:

„Objawiliśmy głośno, iż chcemy okazać się wspaniałomyślnymi; bądźmyż najpierw sprawiedliwi; pozyskujmy sobie serca przez miłość i wzniosłość naszych zasad. Niech karą nieprzyjaciół naszych będzie z naszej strony dawanie im przykładu sprawiedliwości, i obudzanie w nich zamiłowania niepodległości, równości i wolności."

„Sprawiedliwość i godność narodu francuzkiego wymaga, aby obchodzić się z Frankfurtczykami jak z przyjaciołmi i braćmi i zwolnić ich od kontrybucyi, którą w swej zbytniej gorliwości nałożył na nich jenerał Custine."

„I usłuchano głosu zacnego ministra, który podrzynając sobie gardło przy drodze, jako rozporządzenie testamentowe pozostawił te słowa: *„Przechodniu, uszanuj zwłoki uczciwego człowieka"*. Reklamacya jego została uwzględniona, a nam wymierzona sprawiedliwość."

„Postępuj pan z nami jak postąpili Francuzi, a my znowu, wiedzeni poczuciem słuszności, nie odmówimy znużonym wojskom gościnności i żywności. Ale cokolwiek mogą mówić, miasto nasze nie jest tak bogatem, aby mogło płacić bez oporu pierwszą lepszą sumę, jaka może przyjść do głowy jakiemuś jenerałowi. Gdybym posiadał majątek pp. Rothschilda lub Bethmanna, i jak obecnie miał zaszczyt być burmistrzem Frankfurtu, wypłaciłbym z mojej kasy żądane 7 milionów ufny w sumienność współobywateli, że mi sumę te spłacą wedle możności. Ale mój i pana Müllera majątek, połączone razem, nie wynoszą i dwudziestej części wymaganej sumy, pozostaje mi więc tylko oznajmić panu jenerałowi w mojem i współobywateli imieniu, zupełne niepodobieństwo spełnienia jego żądania. Nie zapominaj pan jak w podobnym razie postąpili Francuzi i dwaj ich wielcy ministrowie, Roland i Lebrun, i chciej wspaniałomyślnie naśladować ich przykład, a pozyskasz naszą niewygasłą wdzięczność."

— Najpierw, wdzięczność wasza na nic się nie przyda, a potem nie jestem ministrem ani spraw wewnętrznych ani spraw zagranicznych, tylko żołnierzem. Gdyby owi panowie, Roland i Lebrun byli na mojem miejscu, najniezawodniej postąpowaliby tak jak ja.

— Nie, panie, odrzekł zimno p. Fellner, bo oto takie ogłoszenie rozlepić kazał francuzki jenerał Newinger na murach naszego miasta, do którego wszedł przecież jako nieprzyjaciel, dnia 25 października, 1792 r.

„Dowiedziawszy się, że wielu obywateli Frankfurtu, a mianowicie oberżyści, jako też utrzymujący składy piwa i różnych trunków, mniemają iż zniewoleni są wydawać wojskowym darmo żądane wina, trunki i żywność, upraszam członków Rady miejskiej, aby zawiadomili wszystkich obywateli miasta, iż najsurowiej poleciliśmy żołnierzom, aby za wszystko co biorą płacili gotówką. Jesteśmy przekonani, że ani jeden z żołnierzy naszego oddziału, nie shańbi nazwy obywatela francuzkiego, gwałceniem najświętszego z praw, jakiem jest poszanowanie własności."

— Oto jak przemawiał francuzki jenerał Wiktor Newinger, pierwszego zaraz roku rzeczypospolitej francuzkiej; — jeźli pan jenerał wątpisz o tem, zechciej sam przeczytać to ogłoszenie zachowane w naszych archiwach. Przykro mi, że

widocznie niecierpliwi to pana jenerała ale nie mając innej broni, zniewolony jestem walczyć tą jaką pozostawił nam sprawiedliwy i szlachetny naród.

— A ponieważ ja posiadam broń jaką nadaje siła, zatem uprzedzam, iż jeźli dziś do godziny szóstej wieczór wymagana przeze mnie suma złożoną nie zostanie, jutro zostaniesz pan wtrącony do więzienia, i nie wyjdziesz z niego dopokąd choćby jednego talara brakować będzie do 7,747,008 florenów.

— Znamy zasadę pierwszego pruskiego ministra: *Siła przed prawem!* Na niej się opierając, możesz pan robić z nami co ci się podoba, odrzekł Fellner.

— O piątej, upoważnieni do podniesienia powyższej sumy, przybędą do banku, aby ją zabrać i dostawić do głównej kwatery.

Potem zwracając się do dyżurnego oficera, rzekł głośno iż burmistrz i radny miasta mógł słyszeć:

— Każ pan zaaresztować i odstawić tu dziennikarza Fischera, głównego redaktora „Post Zeitung", od niego rozpocznę wykonywanie postanowień odnoszących się do dziennikarzy i dzienników.

Wróciwszy do siebie, burmistrz zastał zapłakaną całą rodzinę; córki stały w oknie upatrując jego powrotu, żona wybiegła do drzwi, a szwagier aż do bramy. Jakkolwiek widział iż położenie pogorsza się z każdą chwilą, i czuł ciężącą nad głową jego przepowiednię Benedykta, umiał jednak okazać zupełny spokój.

Był to jeden z tych spokojnych charakterów, nie szukających ale i nie unikających niebezpieczeństwa, ale przyjmujących je spokojnie i stawiających mu czoło, nie dla walczenia z niem — bo natury takie nie są wojujące — ale aby poddać się z godnością.

Pan Fellner uścisnął dłoń szwagra, uspokoił żonę i dzieci, poczem zbliżył się do pana Fischera, który przybył, aby się dowiedzieć po co przyjaciel jego wezwany został do generała, i uwiadomił go iż wydano rozkaz aby go aresztować.

Ale Fischer zupełnie przeciwnego był usposobienia, krwistego i gwałtownego temperamentu. Dom burmistrza zaledwie o sto kroków odległy był od stacyi kolei; rysopis jego nie był wydany, mógł więc z łatwością pierwszym pociągiem udać się do Darmstadtu lub Heidelberga; — ale za nic w świecie nie chciał opuszczać Frankfurtu, wtedy właśnie, gdy mu w nim jakieś zagrażało niebezpieczeństwo. Zaledwie pan Fellner zdołał go nakłonić aby pozostał u niego, ale i to z warunkiem, że nie będzie się ukrywał jeźliby tu przyszli go aresztować.

We dwie godzin potem zapukano do drzwi; pani Fellner wyjrzawszy oknem zawiadomiła, że nieproszonymi gośćmi byli dwaj pruscy żołnierze.

Nietylko Fischer nie ukrywał się, ale sam poszedł otworzyć, i na zapytanie: czy nie ma u burmistrza głównego redaktora „Post-Zeitung" (Gazety pocztowej) odpowiedział spokojnie:

— I owszem, ja nim jestem i wiem, że po mnie przychodzicie.

Zaprowadzono go zaraz do hotelu Angielskiego, w którym była główna kwatera jenerała Falkensteina.

Jenerał Falkenstein wziął sobie za zadanie gniewać się ciągle, co dozwalało mu ubliżać i znieważać wszystkich z kim tylko miał coś do czynienia, dodając do zniewag cały szereg wymyślań i klątw, jakich mamy szacowną próbkę w „Zbójcach" Schillera.

Jak tylko zobaczył Fischera, zawołał:

— Niech tu wejdzie,—mówiąc do niego w trzeciej osobie, co u Niemców jest dowodem pogardliwego traktowania.

A gdy zdawało mu się, że Fischer nie dość prędko spełnił rozkaz, krzyknął:

— Do krocset piorunów! popchnijcie go skoro się wzdraga!

— Nie wzdragam się, skoro przyszedłem, choć mogłem nie przyjść i opuścić Frankfurt, będąc zawiadomiony o złych pana względem mnie zamiarach; ale mam zwyczaj nie uciekać przed niebezpieczeństwem, ale iść naprzeciw niemu.

— Wiedziałeś więc panie pismaku, że przychodząc do mnie możesz spotkać się z niebezpieczeństwem?

— Słaby i bezbronny zawsze spodziewać go się może od silnego i uzbrojonego nieprzyjaciela.

— Więc uważasz mnie pan za nieprzyjaciela?

— Przyznasz pan, że kontrybucya nałożona na Frankfurt i groźby wygłoszone panu Fellnerowi, nie są bynajmniej dowodem przyjaźni.

— O! panie dziennikarzu, nie czekałeś kontrybucyi i gróźb moich, aby być i występować jako nasz wróg. Znamy dobrze dziennik pana, i dlatego przywołałem cię, abyś podpisał następującą deklaracyą. Proszę siadać przy tym stoliku, wziąć pióro i pisać.

— Biorę pióro, aby nie dać dowodu złej woli, ale zanim napiszę, chciałbym wiedzieć co mi pan podyktujesz.

— Chciałbyś pan wiedzieć? słuchaj więc: „Ja, doktor Fischer, radzca stanu, główny redaktor „Gazety pocztowej..." Pisz-że pan!

— Powiedz pan co chcesz żebym pisał, napiszę jeźli to uznam stosownem.

Jenerał kończył:

„Uznaję się winnym systematycznej niechęci i potwarzy rzucanych na rząd pruski."

Fischer rzucił pióro.

— Nie napiszę tego, bo to nieprawda.

— Milion set dyabłów! krzyknął jenerał postępując krok ku niemu, zdaje się, że ośmielasz się pan przeczyć mi.

Fischer wyjął z kieszeni gazetę.

— Oto, rzekł, co zaprzeczy lepiej ode mnie; jest to ostatni numer Gazety, który wyszedł wczoraj, przed wejściem wojsk pruskich do naszego miasta. Oto co napisałem wyraziwszy pierwej głęboką boleść z tego, że Niemcy same szarpią własne wnętrzności, że synowie ich mordują się i zabijają wzajemnie, jak gdyby byli dziećmi kazirodztwa. Oto co napisałem:

„Dzieje dni nadchodzących wypisane są ostrzem bagnetu, obywatele Frankfurtu nic zmienić w nich nie zdołają. Bezsilnej ludności bezbronnego miasta nie pozostaje nic jak o ile możności starać się osłodzić los walczących, tak przyjaciół jak nieprzyjaciół, opatrywać rannych, doglądać chorych, wszystkich równem otaczając miłosierdziem. Wszystkie stronnictwa powinny panować nad sobą i ze względu na swą bezsilność nie stawiać oporu władzy odpowiadzialnej."

Widząc, że jenerał wzrusza ramionami, Fischer postąpił ku niemu i rzekł podając gazetę:

— Przeczytaj pan sam, jeźli nie dowierzasz.

Jenerał wyrwał mu z rąk gazetę.

— Napisałeś pan to wczoraj, krzyknął siniejąc ze złości, bo wczoraj przeczuwałeś nasze przybycie i bałeś się nas.

I podarłszy gazetę, zgniótł ją w ręku i cisnął mu w twarz, wołając:

— Jesteś nikczemny tchórz!

Fischer powiódł do koła błędnym wzrokiem, jakby szukając broni, którą mógłby pomścić wyrządzoną sobie zniewagę; potem podniósł ręce do głowy, zatoczył się i padł bez życia, rażony uderzeniem krwi do mózgu.

Jenerał zbliżył się do niego, popchnął nogą a zobaczywszy, że nie żyje, zawołał do żołnierzy:

— Wyrzucić go gdzie do kąta, niech leży dopokąd rodzina się nie zgłosi.

Żołnierze pochwycili i wynieśli martwe zwłoki, a spełniając punktualnie rozkaz jenerała, złożyli go w jednym kącie przedpokoju.

(D. c. n.)

ŚWIAT NUDÓW.

Komedya w 3-ch aktach

p. EDWARDA PAILLERON.

Przekład

E. Lubowskiego.

AKT II.

(Dalszy ciąg.)

Bellac (kłaniając się księżnej). A przecież ona istnieje! Szlachetne serca ją odczuwały, wielcy poeci ją opiewali, a w niebie apoteotycznych marzeń widzi się siedzące te postacie, promienne i nieśmiertelne, dowodem nieskalanym nieśmiertelnej i psychicznej miłości: Béatrice... Laura de Noves...

Księżna. Laura! Ależ ona miała, łaskawy panie, jedenaścioro dzieci.

Damy. Księżno!

Księżna. Jedenaścioro! I pan to nazywasz miłością psychiczną?

Pani de Loudan. Te dzieci nie były dziećmi Petrarki — potrzeba być sprawiedliwą, księżno.

Bellac. Heloisa...

Księżna. Ta znowu!...

Bellac. I Elwira i Eloa i wiele innych jeszcze nieznanych i znanych, bo jest daleko większą aniżeli przypomnieć można, ta falanga czystych i tajemniczych miłości. Odwołuję się w tem do wszystkich kobiet.

Damy. Jakaż to prawda!

Bellac. Nie, nie, dusza ma swój język, sobie tylko właściwy, ma swe natchnienia, swe rozkosze i swe męki, które są jej życiem. A jeżeli złączona z ciałem, to tylko tak jak skrzydło z ptakiem, ażeby się wznieść pod obłoki.

Damy. Cudownie!

Bellac. Oto co nauka społeczna zrozumieć powinna... (Patrząc na Saint-Réaulta.) Ta nauka, którą ołowiany materyalizm przykuwa do ziemi, i dodam, ponieważ mój szanowny mistrz i przyjaciel uczynił w tej chwili alluzyą — może przedwczesną co do straty której nauka, mam nadzieję, nie będzie zmuszoną tak prędko opłakiwać—dodam jeszcze... (patrząc na Toulonniera) przemawiając — ja także — do rządzących: oto czego powinien nauczać tę młodzież, którą Revel budował swojemi słowy. Ktokolwiekbądź po nim wybrany będzie na to posłannictwo: to — niech mi przebaczy mój kolega—nietylko na mocy niedostatecznej powagi odziedziczonych praw, erudycyi i wieku, ale na mocy niepowstrzymanej potęgi głosu młodego jeszcze i zapału, który nigdy nie gaśnie!

Wszyscy Brawo! Wybornie! Przecudownie!

(Wszyscy wstają — szmery głuche — damy otaczają Bellaca.)

Księżna (na str.) Masz za swoje panie Saint-Réault.

Paweł (tak samo). Drugi kandydat!

Pani de Loudan. Ah! ah! panie Bellac!

Zuzanna. Drogi mój profesorze!

Baronowa. Cóż to za uczta dla ducha!

Pani Arriego. Pięknie, bosko, bosko!

Bellac. Drogie panie, ja tylko dałem ciało waszym ideom.

Pani de Loudan. Czarodzieju! Czarodzieju!

Bellac. Zatem, margrabino, jesteśmy pogodzeni!

Pani de Loudan. Alboż się można gniewać na pana! (Przedstawiając baronowę.) Pani baronowa de Boines, jeszcze jedna, którą pan oczarowałeś i która panu ze wszystkiem oddana.

Baronowa. Ja płakałam, profesorze!

Bellac. O! pani baronowo!

Pani Arriego. Prawda, jakie to wspaniałe!

Baronowa. Wspaniałe!

Zuzanna. A jak panu gorąco! (Bellac szuka chustki do nosa.) Nie masz pan swojej, proszę moją. (Daje mu chustkę.)

Bellac. Panno Zuzanno!

Pani de Céran. Zuzanno, co robisz?

Zuzanna (do Bellaca, który chce jej oddać chustkę). Zatrzymaj ją pan, ja postaram się dla pana o jaki chłodzący napój.

Pani de Loudan (podchodząc do stołu, przy którym przemawiał Saint-Réault i na którym stoi taca z wodą i cukrem.) Tak, tak, coś się napić.

Roger. Niech tylko ciocia się przypatrzy.

Księżna. A wszystko to jest za zuchwałe, ażeby było grzeszne.

Bellac (pocichu do Łucyi). A pani — jesteś-że przekonaną?

Łucya. Dla mnie pojęcie miłości... lecz później o tem...

Bellac. Zaraz lepiej...

Łucya. Dobrze. Chcesz pan szklankę wody? (Idzie na przód sceny.)

Pani de Loudan (przychodząc ze szklanką wody). Nie... ja podam... niech mi mój bóg przebaczy, że to tylko czysta woda... Niestety, tajemnica nektaru już zginęła.

Pani Arriego (przychodząc ze szklanką wody). Szklanka wody, profesorze!

Pani de Loudan. Nie... nie... wybierz pan moją, moją!

Pani Arriego. Nie, moją, moją!

Bellac. Jednak...

Łucya (podnosząc mu szklankę wody). Oto jest!

Pani de Loudan. Pewnie weźmie od Łucyi, ale ja jestem zazdrosną!... Nie, moją wziąć musi...

Zuzanna (przybywa i wmusza go do wzięcia jej szklanki). Bynajmniej... moją weźmie.

Łucya. Ależ panno Zuzanno!

Pani de Loudan. Ta mała ma tyle czelności.

Roger (do księżnej). Ciociu, ciociu!

Księżna. Co się jej stało?

Roger. To od czasu przybycia Bellaca.

(Drzwi wielkiego salonu roztwierają się, widać oświetlenie.)

Księżna. Nakoniec (do pani de Céran) zabierz swoich gości, wszak wiesz, teraz nadeszła chwila.

Pani de Céran. Zatem chodźmy na czytanie tragedyi. Przejdźmy do wielkiego salonu — poczem wypijemy herbatę w cieplarni.

Łucya, Bellac i *Zuzanna* (na stronie). W cieplarni!

Roger (pocichu do księżnej). Widziałaś księżno jak drgnęła Zuzanna.

Księżna. Bellac drgnął rzeczywiście.

Pani de Loudan. Chodźmy — Muza nas woła!

(Wszyscy przechodzą zwolna do wielkiego salonu.)

Jenerał (do Pawła). Jakto panie, podprefekcie, trzy lata!

Pani de Céran. Jenerale, naprzód!

Jenerał. A prawda! tragedya... Pani hrabina słusznie rzekła. Trzeba zachęcać tragedyę... Pięć aktów... no! chodźmy, chodźmy!

Joanna (pocichu do Pawła). Pamiętaj za chwilkę.

Paweł. Ah! tak, tak, — pamiętam.

Jenerał (do Pawła). Przez trzy lata podprefektem i powiadają, że ten rząd nie jest konserwatywny.

Paweł. Przepyszny dowcip panie jenerale!

Jenerał (skromnie). Hm, hm...

Toulonnier (do pani de Loudan). Rzecz skończona margrabino! (Do pani Arriego.) Do usług szanownej pani.

Bellac (do Toulonniera). Zatem, panie sekretarzu jeneralny, mogę mieć nadzieję?...

Toulonnier. Ależ mój przyjacielu, to ci się z prawa należy, wszak wiesz dobrze, że jesteśmy wszyscy za tobą. (Wychodzą głębią.)

Jenerał (do Pawła wracając na przód). A jakiż duch panuje w twoim departamencie panie podprefekcie?... Musiałeś go przecie poznać, co u dyabła przez trzy lata.

Paweł. Miły Boże, panie jenerale... duch w departamencie... jaki duch?... ot powiem jenerałowi... wcale go tam nie ma. (Wychodzą głębią.)

(Zuzanna przechodząc, dotyka pianina z wielkim hałasem.)

Pani de Céran (surowo do Zuzanny). Ależ moja Zuzanno, doprawdy że...

Zuzanna (ze zdziwieniem). Co takiego?

Księżna (zatrzymując ją i patrząc jej w twarz). Co tobie się stało?

Zuzanna (z uśmiechem nerwowym). Mnie?... bawię się...

Księżna. Pytam się, co tobie?

Zuzanna. Ależ nic, moja ciociu, powtarzam że się bawię.

Księżna. Co tobie?

Zuzanna (z powstrzymanym łkaniem). Mam zmartwienie. (Odchodzi do salonu i gwałtownie zamyka drzwi za sobą.)

Księżna (do siebie). A przecież tkwi w tem miłość, miłość prawdziwa... alboż się na tem nie znam. A przecież znam się na tem.

(D. c. n.)

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Grube ryby M. Bałuckiego; **Siła złego na jednego** W. Szymanowskiego.

W poprzednich numerach „Tygodnika" wspominaliśmy o „Rozbitkach" Blizińskiego, obecnie zaznaczamy wyborną komedyą M. Bałuckiego p. t. „Grube Ryby".

P. Bałucki, znany literat i komedyopisarz, należy do tego rodzaju talentów, które poruszywszy szerokie i doniosłe kwestye społeczne lub moralne, gubią w nich swoją indywidualność, rozpływają się w dydaktyce, a tendencya góruje po nad artyzmem i akcyą, jak np. w komedyi: „Sąsiedzi", „Rodzina Dylskich" i t. p. Tam jednak gdzie autorowi chodzi o wykazanie ujemnych stron towarzyskiego pożycia lub słabostek i przesądów, Bałucki jest artystą misternie rzeźbiącym swe postacie, życie codzienne odtwarza z realizmem i prawdą, ale z tą miarą artystyczną, która każe mu się wystrzegać rubaszności i efektów okolicznych obliczonych na poklask mniej rozważnie sądzących.

Komedye jego nie powstają z kombinacyi charakterów, nie rzeźbi je, nie bada tajników duszy, nie analizuje psychicznych czynników — lecz bierze ludzi jakiemi są w oczach przeciętnych śmiertelników — a ze swej strony grupuje artystycznie, wyzyskuje znakomicie każdą sytuacyą, wiąże i splata swe postacie od przypadku do przypadku, jednak bez wyszukanej intrygi i naciąganych, nieprawdopodobnych wypadków.

Jedną z najświeższych komedyi tego sympatycznego autora są „Grube Ryby". W Krakowie mieszka sobie spokojnie para poczciwych staruszków Ciaputkiewiczów, on, emeryt, podzielił sobie cały dzień systematycznie, ze swą zacną i kochaną żoną sprzecza się co chwila, ot tak dla przyjemności sprzeczania; ona, mimo nieustannych narzekań na swarliwość męża, nie ustępuje nigdy a kocha go serdecznie. Do nich codziennie około szóstej przychodzą podżyli ale bogaci starzy kawalerowie pp. Wistowski (Łucyan) i Pagatowicz (Hofmann) na robra wiścika, pulkę preferansa lub taroka; obaj są tego przekonania, że tacy jak oni, grube ryby, są nader pożądani w każdej rodzinie, w której są panny lub wdowy na wydaniu. Jeszcze pan Pagatowicz, urzędnik, biurokrata, cierpiący na katar żołądka i hurkotanie, jest skromnym i nieśmiałym wobec kobiet, ale p. Wistowski, niegdyś Don-Juan, zawracający serca i główki panien i mężatek,—ten nietylko jest przekonany o wysokiej wartości swej osoby, ale umie natchnąć tą wiarą i niewinnego Pagatowicza.

Obydwaj są stanowczo zdecydowani nie dać się złowić w sieci małżeńskie, a wielbiąc wolny stan kawalerski, w nim pozostać na zawsze; powodowani temi uczuciami, unikają starannie wszelkich towarzystw, w którychby mogła im grozić jakaś niewiasta.

Do staruszków zjeżdżają nagle z pensyi ze Lwowa dwie przyjaciółki: jedna Wandzia, wnuczka (panna Kałużyńska), druga, Helena, jej przyjaciółka (pani Cieślińska), a tem samem spokój przerwany, niebezpieczeństwo dla kawalerów się zbliża. Wandzia na pensyi poznała i pokochała siostrzeńca pana Wistowskiego, wszelkiemi więc sposobami stara się pozyskać względy stryja; przyjaciółka zaś jej, Helena, pragnie sukni jedwabnej z ogonem,—na to potrzeba pozwolenia i pieniędzy ojca a protekcyi i kupna sukni w Wiedniu, dokąd się udaje przyjaciel ojca Helenki p. Pagatowicz. Tedy panny starają się usilnie podobać i pozyskać względy dwóch starych kawalerów.

Znaną jest światu zarozumiałość wielu mężczyzn, którym się zdaje, że każdy łaskawszy uśmiech kobiety, każde odszczególnienie jest zamachem na ich stan kawalerski a przynajmniej na serce — zwłaszcza takie „grube ryby", które w swem mniemaniu potrzebują tylko skinąć ręką, by każda chociażby młoda, piękna i bogata z radością podała rękę podtatusiałemu Apollinowi.

Otóż tę zarozumiałość wyśmiał Bałucki w swej trzyaktowej komedyi, która jest jednym łańcuchem wysoce komicznych i tchnących szczerym humorem scen i sytuacyi. Naturalnie i Wistowski i Pagatowicz są przekonani, że ich łowią, i po krót-

kim oporze decydują się na kajdany małżeńskie. Pyszną jest scena bliskich oświadczyn, rozmowy staruszków i wreszcie rozczarowania „grubych ryb”.

Komedya ta została znakomicie odegraną; państwo Linkowscy grali jak przystało na wytrawnych artystów, ktorychby się żaden teatr nie powstydził, p. Łucyan oddał bardzo dobrze typ kawalera, którego epoka rozkwitu już przeszła od lat kilkunastu; ruchy i charakterystyka były obmyślane i wykonane z artystyczną finezyą. Pan Hoffman w roli Pagatowicza może zamało był biurokratą a zawiele mieszczuchem średniej zamożności, radzca sądu jest dumniejszy, troskliwszy o swój ubiór i bardziej obeznany z życiem. Panna Kałużyńska, posiada wszelkie warunki, by zostać bardzo dobrą artystką, uniknęła patosu z którym jej, mimo piękności nie jest do twarzy, była swobodną, wesołą—jednak zbyt rezolutną, pewna doza wstydliwości i zakłopotania niewinnego, uczyniłaby jej grę naturalniejszą.

Są talenta tak artystyczne jak i literackie, dla których stanowi trudność forma, treść ją rozsadza, nie wystarczają istniejące drogi i szukają nowych; istnieją znów inni, dla których forma jest wszystkiem, treść ginie wśród pięknych frazesów i biegłej dyalektyki. Te ostatnie porównalibyśmy z dziełami architektonicznemi stylu barokko w którym piękne i szlachetne linie renesansu giną wśród nader bogatej ornamentyki, przygniatającej swym ciężarem i nieproporcyalnością wszystkie zalety pierwotnego renesansu.

Do takich to talentów zaliczamy i p. Wacława Szymanowskiego; styl jego gładki, wymuskany i miniaturowo wygładzony, wierszowanie płynne dyalogowanie zręczne, ale wśród tych barwnych szat zatracają się kształty artystyczne, myśl maleje a nawet niknie, idea przewodnia rozpływa się i rozdrabnia na szczególiki, udatne, częstokroć nawet piękne same w sobie, ale złożone nie utworzą pięknej i pomysłowej mozaiki.

Poprzednio wymienione zalety i wady posiada też najnowsza praca dramatyczna tego autora p. t. „Siła złego na jednego”. Jest to dyalog w jednym akcie grany po raz pierwszy w Teatrze Letnim 5 września b. r. Treść jego jest następująca: w roku 1621 cała szlachta zbrojno i strojno wyruszyła na pierwszą wojnę chocimską, doma pozostał z urzędu Wojski (p. Rapacki) i stary żołnierz pan Roch (pan Waliszewski). Wojski, jak wiadomo, miał pieczę nad pozostałemi niewiastami, ale trudna to opieka, bo co chwila najeżdżają go kobiety, najpierw sędzina (pani Nowakowska), troskliwa o syna Jacucia, następnie podstolina (p. Figarska) z panną Urszulą Wiszniakówną (pani Ostrowska) rozpaczająca nad odjazdem niezdeklarowanego narzeczonego. Obaj tak Jacuś jak i narzeczony poszli na wojnę — wreszcie spada z krzykiem i hałasem łowczyni (p. Borkowska) z dziećmi i cześnikówną (panną Czaki), które mdleją i tchórzą na wzmiankę o napadach tatarskich. Wśród tych opałów cóż dziwnego, że Wojski traci głowę, woli wojnę i walkę z Tatary, aniżeli opiekę nad kobietami. Otóż i cała treść.

Słusznie nazwał p. S. tę kreacyą dyalogiem tylko, sama bowiem technika i układ, że tak nazwiemy szufladkowy, na inną nazwę nie zasłużył. Inna rzecz co do tendencyi autora: ujemne przedstawienie pięciu niewiast bez żadnego zrównoważenia jest błędnem. Nie przeczymy, że wśród tysięcy kobiet w ówczesnej Polsce znalazłyby się i takie jak autor przedstawił, ale były to wyjątki, a czy wolno z wyjątków stawiać regułę, zasadę, uogólnienie? A zważmy i na to, że były to czasy zapału i przekształcenia się rycerzy polskich, pańswowych na rycerzy Chrystusowych, że to niemal fanatyczne początki owej bohaterskiej walki ozdobionej i zakończonej świetnem zwycięztwem wiedeńskiem. Czyż mogłaby taka generacya kobiet, jak odrysował autor, zostać matkami i karmicielkami przyszłych bohaterów? Wszak to niezbyt dawne czasy, gdy Polki przewyższały w poświęceniu Spartanki — w miarę niebezpieczeństwa rosła ich odwaga i siła.

Powtarzamy raz jeszcze, że wierzymy w możliwość istnienia takich kobiet na szerokich przestrzeniach ziem dawnej Polski — ale podnosić je do typów jest rzeczą co najmniej rażącą i antihistoryczną.

Pan Rapacki jako Wojski, był dzielnym szlachcicem i swą rolę odegrał bardzo dobrze — reszta osób nie psuła, ale i nie podnosiła sztuki, z wyjątkiem panny Figarskiej, która swą małą rolę wybornie oddała.

Wojciech Lubicz.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

— W N-rze 29 *Przeglądu Katolickiego* zamieszczony jest artykuł p. n. *„Herbert Spencer o instrukcyi szkolnej”*, który, jako obejmujący ciekawe dane odnośnie do niektórych poglądów słynnego angielskiego filozofa i naturalisty, podajemy w streszczeniu.

Herbet Spencer, uczeń Augusta Comte'a, pozytywisty i darwinisty, jest ateuszem, jednakże nietylko nie robi z tego parady, ale co więcej okazuje pewną „wyrozumiałość” dla wierzeń i przekonań religijnych, choć sam ich nie podziela. Jego *„Wstęp do nauki o społeczeństwie”* jest książką z powodu nagromadzonych w niej faktów wielce nauczającą, ale zarazem mogącą zgubny wpływ wywierać z powodu niewiary przejawiającej się na każdej stronnicy. Spencer większą część życia poświęcił badaniu przyrody; w społeczeństwie widzi on tylko nagromadzenie sił, w pośród których nie ma miejsca dla *wolności*. Wynikiem tego są nieustanne sprzeczności i brak spójni logicznej w rozumowaniach i wnioskach angielskiego socyologa, a z drugiej strony pióro ateusza i pozytywisty kreśli niekiedy myśli, które jako pochodzące od jednego z „mistrzów szkoły pozytywnej” zasługują na wzmiankę, gdyż apostoł pozytywizmu mimowolnie składa w nich hołd prawdzie wiary.

„Rzecz to niezaprzeczona, powiada Spencer, że nabycie wiadomości nie prowadzi do czynu... Na tej zasadniczej prawdzie psychologicznej opierać się winien wszelki racyonalny system wychowania młodzieży. W rzeczy zaś samej ludzie nie rozumieją tej prawdy, przeciwnie, wszystkim się zdaje, *że postępowaniem kierują wiadomości a nie uczucia.* Pod wpływem tego przekonania, tak gorąco zaczęto teraz zajmować się organizowaniem nauczania publicznego; a przewodnią myślą wszystkich *sekularyzatorów* nauczania jest błędna zasada: iż upowszechnienie edukacyi szkolnej jest *jedynym niezbędnym* środkiem do podniesienia moralności społeczeństwa.”

Błędne to mniemanie powstało z samowolnego tłomaczenia liczb statystycznych; ztąd na każdym kroku spotkać można powtarzających „ciemnota jest matką występków”, Spencer; utrzymuje przeciwnie, iż zachodzi jedynie pewien związek między występkami i niższym rodzajem życia i zajęć. „Ciemnota, pisze on, nie jest wyłączną przyczyną przewinień, lecz jednym z czynników do nich prowadzących”. Socyalog angielski nie myśli występować do walki ze zbyt „zakorzenionym przesądem”, gdyż mówi „żadne dowodzenia nie zdołałyby powściągnąć zakorzenionej co do tego opinii” lecz z filozoficzną rezygnacyą oczekuje chwili, kiedy praktyczne rezultaty rozproszą „wiarę w leczniczą moc wyłącznego nauczania książkowego”. „Bankruci, założyciele spółek i stowarzyszeń, mających jedynie na celu wyzyskiwanie ludzi, fabrykanci fałszowanych produktów, podszywający się pod znane firmy, oszukujący przy mierze i wadze, armatorzy budujący statki niezdolne utrzymać się na morzu, szachraje, operujący za pomocą przeróżnych stowarzyszeń asekuracyjnych, wyzyskiwacze cudzej pracy na swoją korzyść i t. d. nie należą do klasy nieukształconej. Utrzymują iż większa część zbrodniarzy nie otrzymała wykształcenia szkolnego, tymczasem cyfry dowodzą: że liczba przytoczonych przestępców jest daleko większą w stosunku do klas wykształconych, niż liczba morderców w stosunku do ogólnej sumy ludności.” Na str. 389 i 390 czytamy: „Ufność w moralizujący wpływ kultury umysłowej jest niedorzeczną *a priori*. Jakiż może zachodzić związek między wyuczeniem się pewnych znaków, wyobrażających pewne wyrazy, a nabyciem wznioślejszych uczuć? Jakim sposobem umiejętność kreślenia znaków, wyobrażających te lub owe dźwięki, mogłaby umocnić wolę czynienia dobrze? W czem znajomość tabliczki mnożenia może się przyłożyć do rozwinięcia współczucia i poskromienia dążności szkodzenia bliźniemu? Jakim sposobém dyktanda robiona dla wprawy w ortografią lub też rozbiór gramatyczny, mogą wpłynąć na wyrobienie pojęcia o sprawiedliwości? Czyż nagromadzenie wiadomości geograficznych może wzmocnić w uczniach poszanowanie dla prawdy? Kto dając lekcye łaciny, mniemałby, że nauczy geometryi, należałoby go umieścić w domu waryatów, lecz właściwie nie byłby on głupszym od tych wszystkich, którzy myślą, że przez rozwijanie jedynie zdolności rozumowych, zdołają zaszczepić wyższe, szlachetniejsze uczucia?”

Dalej, zwracając się do żądających, aby nauczanie szkolne obejmowało także przepisy moralności, dodaje: „Czyż ztąd, że rozum mój nabywa przepisów dobrego postępowania, wynika, iż przepisy te będą zawsze normą moich uczynków? Niezaradni i zepsuci Chińczycy, wszyscy przecież prawie znają kodeks moralności Konfucyusza, Anglo-Saksonowie Ameryki Północnej, cyniczni czciciele boga-dollara, pomimo, że od dzieciństwa poddawani są wpływowi czytań budujących, przekony wają nas o tej prawdzie, że człowiek nader rzadko postępuje zgodnie z wiedzą swoją.”

Sam ateusz jednak wywodami swemi dowodzi, zapewnie mimowolnie, że sama tylko religia i wiara dokonać może umoralnienia i duchowego uszlachetnienia człowieka, wykazując zarazem, iż nauczanie religijne powinno być udzielane przez kapłanów.

Dalej zbija także rozpowszechnione twierdzenie, że nie rodzice ale naród ma przysposabiać dzieci na drogę życia i kierować wychowaniem młodzieży. „Rzeczą jest dowiedzioną, mówi, że tylko miłość rodzicielska może przeistoczyć na lepsze temperamenta dzieci lekkomyślnych i niedbałych

a wy chcecie osłabić tę siłę społeczną tak wielką i tak nieocenioną! Zamiast osłabiać uczucie odpowiedzialności rodziców, należałoby przeciwnie nie zaniedbywać niczego coby je wzmocnić mogło. *Ludy europejskie poszukują teraz powierzchownej kultury umysłowej kosztem głębokiej demoralizacyi.*"

Na takie zdanie „pozytywisty" Spencera zgadzamy się najzupełniej.

† Rozpierzchli po całej Europie Cyganie, w największej liczbie znajdują się w Węgrzech, gdzie od wieków tak się zżyli z krajem i z mieszkańcami, iż prawie za tubylców uważani być mogą. Lubią i pragną żeby ich nazywano Nowo-Węgrami, i szczerze przywiązali się do kraju, użyczającego im tak gościnnie przytułku. Cyganie zrodzeni lub wzrośli na ziemi węgierskiej, najlepiej wykonywają narodowe węgierskie melodye. Posiadają niezaprzeczony talent do muzyki instrumentalnej; śpiew ich nie jest bynajmniej doskonałym, melodye są pochodzenia czysto węgierskiego, ale wykonanie i oddanie ich na instrumencie godne uwagi. Jak we wszystkich europejskich orkiestrach, tak i u nich głównym instrumentem są skrzypce, jednak właściwym, charakteryzującym ich instrumentem, są cymbały. Składają się one z drewnianych ram w formie trapezu z przykryciem odbijającem dźwięk, na którem naciągnięte są druciane struny, w które się uderza dwoma drewnianemi młoteczkami, obciągniętemi na końcach suknem lub skórą. Instrument ten nadaje muzyce cygańskiej charakterystyczny drżący ton, z pomiędzy którego tem wybitniej brzmi dominująca nuta madziarska. Instrument ten obejmuje przeszło trzy oktawy, i można na nim wybornie wygrywać harmonijne figuracye i tremole. Klarnet odgrywa także ważną rolę, szczególniej we wznioślejszej muzyce. Najdoskonalej odgrywa muzyka cygańsko-węgierska narodowy taniec *czardasz.* Do właściwej muzyki tanecznej stanowią przejście tak zwane *Lassú* i *Czifra.* Lazsu (= adagio) jest zwykle smętną, mollową nutą ludową, ozdobioną przez Cyganów najrozmaitszemi muzycznemi dodatkami. Ozdoby te są charakterystyczną cechą muzyki węgierskiej. Jak ich różnobarwna odzież, tak i muzyka jest bardzo urozmaicona. Rzecz szczególna, że zupełnie nie znają trelów. Bardziej ruchliwe, choć także w formie mollowej trzymane, jest czifra (allegretto), jest ono przejściem od pieśni do tańca, od zadumy do wesołości, od cichych pragnień do czynu. Najżywszym, najskoczniejszym z tańców węgierskich jest *czardasz* zwany inaczej *fris,* tańczy go się z towarzyszką. Z pomiędzy wykonawców tej muzyki, odznaczał się szczególniej Cygan Brihari, skrzypek. Gdy go raz Paganini usłyszał grającego, zdjął z ręki wielki brylantowy pierścień i włożył go na jego palec. Swego czasu Bihari grywał ze swoją orkiestrą w jednej z peszteńskich kawiarni, i przy zbieraniu pieniędzy od gości, wybierał i rozdawał kelnerom datki mniejsze niż 10 guldenow. W końcu umarł w Peszcie w szpitalu.

† Bodaj to być pierwszym bożkiem w Siammie!

Wiadomo że Syamczycy boską cześć oddają białemu słoniowi. Od lat kilku już brakowało takiego słonia w głównej świątyni w Bangkoku, dawniejszy bowiem zakończył doczesny żywot, po stuletnim blizko pozowaniu na bożka. Lud trapił się bardzo brakiem widomego przedstawiciela bóstwa, gdy nagle jeden z zarządców prowincyonalnych zawiadomił, że na terrytoryum powierzonem jego zarządowi, znaleziono nareszcie słonia białego, którego pojmał i wyprawił do stolicy. Niezwłocznie król wraz z całem dworem, duchowieństwo i niezliczone tłumy ludu wyszły naprzeciw nowego bożka, aby go przyjąć z należnemi honorami.

Spotkanie miało miejsce o kilka mil od Bangkoku, do którego biały słoń odbył istny wjazd tryumfalny. Wojsko na ulicach tworzyło szpaler; kapłani śpiewali pieśni, a lud cały padał na kolana za pojawieniem się białego słonia, obok którego z prawej strony postępował król z dobytym mieczem w ręku, a po lewej najwyższy kapłan ze złotą laską. Gdy orszak stanął, król położył trąbę słonia na swojej głowie i ramionach, jak gdyby tym sposobem przyjmował od niego błogosławieństwo.

Zagrzmiały salwy piechoty i artyleryi; wojsko sprezentowało broń, poczem odprowadzono białego słonia do przygotowanych dlań pałaców, gdzie odbyła się jeszcze ceremonia ozdobienia go wielką wstęgą orderu i nadania mu godności i stopnia władzcy Syamczyków. Wszystkie naczynia używane do obsługiwania ubóstwianego słonia, wyrobione są ze złota lub jak najdroższej porcelany.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Panu J. W. w Częstochowie. Wierszyk do wiatru zamieszczony zostanie: inne nie odpowiadają warunkom, którym Redakcya musi być posłuszną.

Panu W. C. w O. Wierszyki nie mogą być pomieszczone w Tygodniku, choć forma w nich staranna.

Panu M. S. we wsi Pohoryła w Humańszczyznie. Janek z Bielca wdzięczny jest za przyznanie mu przymiotu bezstronności, ale i prawdzie radby służyć o ile to w jego mocy. Co mieści w swem piśmie to z przekonania, a że owa walka tak nazwana starych z młodymi, była tylko zamętem głowin pragnących od razu stanąć na stanowisku do którego dochodzi się tylko długą pracą i zasługą, to nie ulega żadnej wątpliwości. Zamęt ten jednak nie jest dowodem, aby ci co go robili byli bez żadnych zdolności wierutnemi głupcami, ale wówczas gdy pisali byli młodymi, bez należytego na pracowników pióra przygotowania. Dziś wielu z nich zyskało uznanie, stało się chlubą naszą, nie jest jednak te dowodem aby to co wygłaszali niegdyś, lat temu szesnaście, zasługiwało na pochwałę. Gdyby wrzawy tej młodzieńczej na jaw nie dobyto, byłoby cicho i spokojnie: gdy ją podniesiono aż do znaczenia literackiego, cóż dziwnego że ozwały się głosy karcące i wykazujące wszystkie błędy publikacyi, co je wydobyła z pyłu zapomnienia? Głosy tak wzniesione żadnej szkody nie przyniosą nikomu, co ma być to będzie, co postanowiono, wykonanem zostanie przez władze, a ktoś najbardziej interesowany zyska nawet na tem, bo przekona się praktycznie, jak zarozumiałość jest wadą bardzo szkodliwą. Janek z Bielca żałuje, że w przedmiocie tym obszerniej nie może się rozpisać, ale bardzo cieszy się, że zbliżył się do niego człowiek z obozu tak zwanego młodych, i choć do starego pracownika, a wyciągnął rękę z serdecznem słowem i przyjacielskiem uczuciem. Bóg zapłać za to! Słowa rozumu i umiarkowania zawsze chętnie przez Janka z Bielca przyjęte zostaną, choćby nawet przeciw niemu mówiły.

Panu Stanisławowi T. Wierszyk p. t. „Sama jedna" treścią nieodpowiedni dla Tygodnika.

Pa. M. S. w K. Chętnie przyjmiemy ofiarowaną nam pracę, ale wskazać ją jest niepodobieństwem. Wybór do tłomaczenia jest najtrudniejszy; dział powieściowy ma już stałego redaktora, inne zaś artykuły lepszej wartości, skrzętnie są zaraz przyswajane z obcych języków, dla pism peryodycznych przez tłomaczy, których liczny zastęp znajduje się w Warszawie. Spróbować jednak nie wadzi, a o ile można życzenie chętnie spełnimy.

Pa. P. B. w W. Korespondencya zbyt czarno wszystko przedstawia, jakby w opisywanej miejscowości nic dobrego nie znajdowało się. Konserwatyzm do pewnego stopnia ma swoje zalety, ale do przesady posunięty staje się śmiesznym a często wstrętnym. Ludzkość idzie ciągle naprzód, postępują więc i społeczności i postępem znaczy wszystko co do jej składu wchodzi. Śledzić go głównem zadaniem powinno być korespondentów, z wykazywaniem tego co do zrobienia pozostaje. Nie wszystko co dawne było dobre, tak samo nie wszystko jest złe co dzisiejsze.

Zawiadomienia.

W interesie własnym Szanownych Prenumeratorów *Tygodnika Mód* upraszamy ich, aby przy odnawianiu dalszej prenumeraty, albo żądaniu zmiany adresu, lub wysłania zatraconych numerów, oraz przy objawianiu wszelkich reklamacyi, nadsyłać raczyli kartkę adresową niniejszego pisma na opasce naklejoną, lub wypisywać oznaczone na niej numery; a to celem łatwiejszego odszukania w miejscowej kontroli nazwiska prenumeratora, tem samem więc spieszniejszego wykonania objawionego żądania.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ Варшава 31 Августа 1881 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

IDA LATIMER.

Przez

RODĘ BROUGHTON.

Przekład

K. P.

(Dalszy ciąg.)

XIII.

Po raz drugi w ciągu dwóch miesięcy miss Latimer chciała zwalczyć przeznaczenie, i po raz drugi przeznaczenie dało uczuć swą żelazną rękę zwyciężonej i upokorzonej. Chciała oprzéć się konieczności, a przekonała się że jej ulegać trzeba.

Ważniejsze interesa, wynajęcie domu, umeblowanie go w tym celu i dokompletowanie szkła i porcelany, zabrało parę tygodni czasu. Teraz już wszystko gotowe: pan Marlowe odjeżdżający do dworca w Euston, z najeżonemi włosami i w kosmatym paltocie, przypomina płaczącego niedźwiedzia; z oczu Idy płyną także łzy: pozostanie teraz sama, sama przez pięć miesięcy, w ciągu których spotka ją zapewnie wiele przykrości. Jedyną jej pociechą będzie kalendarz, który zamyśla zawiesić nad łóżkiem, i co wieczór wykreślać z niego każdy dzień przebyty, skracający o dwadzieścia cztery godzin jej ciężką niewolę. Ma przybyć do swego opiekuna przed śniadaniem. Od czasu ostatniej i tak przykrej dla niej rozmowy, widywała go rzadko, i jedynie gdy potrzebował pomówić z nią o jakim interesie. Dwa dni temu, przyszedł do niej żądając aby oznaczyła stanowczo dzień w którym zamierza przenieść się do niego. Zamienili z sobą z tege powodu kilka słów grzecznych ale zimnych, i zamierzał już odejść gdy z zadziwieniem spostrzegł że zatrzymuje go żywem skinieniem ręki.

— Chciałam... chciałam zapytać się pana, odezwała się nieśmiało, bo wolałabym wiedziéć o tem zawczasu, czy... siostra pana... czy miss Burnet... jest przeciwko mnie uprzedzoną? Czy pan... uwiadomił ją o?...

— Nie, odpowiedział krótko, i odszedł.

Pomimo tego zapewnienia, serce Idy biło bardzo prędko, kiedy na kilka minut przed pierwszą, najęty powóz, do którego wsiadła wraz ze swą pokojówką, zatrzymał się przed domem jej opiekuna. Rzadko się zdarza abyśmy nie mieli jakiegoś wyobrażenia o osobie do której udajemy się po raz pierwszy; ale Ida nie wiedziała o miss Burnet nic więcej nad to co brat o niej nadmienił, że jest już niemłoda i niezamężna. Trudno sobie z tego wyrobić jakieś wyobrażenie o charakterze lub powierzchowności nieznanej nam osoby.

Ida weszła za wskazującym jej drogę służącym do wielkiego salonu, gdzie zastała mis Burnet. Była to rzeczywiście osoba już niemłoda, otulona wielkim szalem, która podniosła się wolno ze swego fotela, wyszła naprzeciwko niej i podała zimno rękę nie przemówiwszy ani słowa.

— Sądzę że się nie spóźniłam, rzekła Ida uprzejmie. Wszak pani nie czekała na mnie?

— Nie czekalibyśmy na panią, gdybyś się spóźniła, odpowiedziała miss Burnet niezbyt grzecznie. Ludzie mający wiele zajęcia nie mogą czekać; ale dziś jak się to zresztą zdarza, chorzy zatrzymali Jana dłużej jak zwykle.

Zanim skończyła mówić usłyszano na schodach szybkie kroki i Burnet wszedł do salonu. Byłoby rzeczą zupełnie naturalną gdyby podał rękę Idzie, jak to zwykle czyni pan domu witając kogoś u siebie po raz pierwszy; ale ukłonił się tylko ceremonialnie, i w tejże chwili przyszło na myśl Idzie że nigdy jeszcze nie podali sobie ręki.

— Więc już dziś widzieliście się z sobą, jak to widać z waszego powitania, rzekła miss Burnet. Wyobrażam sobie z tego, dodała z chłodnym uśmiechem, że musicie być z sobą w wielkiej przyjaźni.

Ida zarumieniła się, a Burnet zaczął gorliwie poprawiać na kominku. Znać że siostra jego nie musiała być bardzo domyślną, gdyż nie dostrzegła ich zmieszania i mówiła dalej:

— Nic nie może więcej sprzyjać zawiązaniu się szczerej przyjaźni nad wspólne czuwanie przy chorym.

— Czy nam dziś nie podadzą śniadania? zawołał niecierpliwie Burnet. Na cóż czekają jeszcze?

Służący oznajmił prawie w tejże chwili że podano śniadanie. Wszystko było bardzo dobre i starannie podane, ale jakaś nieśmiałość odbierała Idzie apetyt. Ile razy chciała wziąść coś w usta, przypominała sobie jak ciężko obraziła człowieka ktory dziś przyjmował ją u siebie.

— Widzę że nic pani nie smakuje, rzekła miss Burnet z wyrazem niezadowolnienia, ale to nie moja wina; pytałam się Johna co pani lubi, i odpowiedział mi, że nic o tem nie wie.

— Rzeczywiście, rzekła Ida zmuszona dać jakąś odpowiedź, pierwszy raz dopiero zasiadamy razem do stołu.

Nastąpiło znów długie i przykre milczenie; w końcu przerwał je gospodarz czując że mu wypada coś powiedziéć:

— Czy pan Marlowe dziś odjechał? zapytał grzecznym ale zimnym tonem, nie patrząc na nią wcale.

— Tak, dziś przed południem.

— O której godzinie będzie w domu?

— Zaledwie koło wieczora. Jest to długa i nudna podróż.

Przypomnieli sobie w jaki sposób odbyli razem tę długą i nudną podróż, i to wspomnienie odebrało im ochotę do dalszej rozmowy.

Byli daleko wymowniejsi gdy sobie mówili niegrzeczności! Wtenczas nigdy im słów nie zabrakło, ale teraz gdy są zmuszeni do grzeczności, nie umieją rozmawiać z sobą.

— Widzę, odezwała się zimno miss Burnet, że wam przeszkadzam. Chcielibyście zapewnie mówić z sobą o czemś takiem, czego nikt słyszéć nie powinien a ponieważ nie jém nigdy śniadania, i siadam do niego tylko dla towarzystwa, oddalę się bardzo....

— A! niech pani nie odchodzi, proszę bardzo! zawołała Ida, wyciągając rękę jakby ją chciała zatrzymać.

— Proszę cię, pozostań z nami! zawołał Burnet rozkazującym tonem.

Potem zawstydzony swą zbytnią żywością dodał.

— Wychodzę zaraz. Mam jeszcze pilne zajęcie.

— Zwykle wychodzisz dopiero w pół godziny po śniadaniu; czemuż dziś śpieszysz się tak bardzo?

Usiadł napowrót trochę zmieszany. Wkrótce potem miss Burnet wstała od stołu, i szal zsunął się z jej ramion na ziemię. Podniósł go śpiesznie.

— Dajże pokój! rzekła opryskliwie, tyle razy podnosiłam go sama, że i teraz mogę się obyć bez twej pomocy.

Nie zważając na to, otulił ją szalem troskliwie i z największą cierpliwością, zalecając aby pamiętała że ma silny katar, i wystrzegała się cugów. Ida poszła za nią; skoro zbliżyły się do drzwi salonu, miss Burnet rzekła zwracając się ku niej:

— Zapewnie, miss Ido masz ochotę zobaczyć swoje mieszkanie, ale sądzę że nie wymagasz abym będąc słabą, sama zaprowadziła cię do niego. Łatwo ci będzie trafić! Drugie drzwi w sieni na prawo. Ponieważ, jak mi się zdaje, masz tu dłużej zabawić, nie obchodzę się z tobą tak jak gdybyś przyszła z wizytą.

— Przykro mi bardzo że jestem zmuszoną narzucać się pani, odpowiedziała, rumieniąc się Ida.

— Nie potrzebujemy obiedwie zadawać sobie przymusu, powiedziała znów miss Burnet, myśląca więcej o cugach niż o swym gościu. Każda z nas może czynić co jej się podoba, nie krępując się jakiemiś ceremoniami.

Co prawda, trudno zabłądzić w angielskim domu, to też Ida trafiła od razu do pięknego i obszernego pokoju, w którym stało łóżko, szafy, duże stojące lustro, a następnie przeszła do ładnie i świeżo umeblowanego gabinetu, który miał być jej budoarem.

— No! rzekła do siebie wesoło, nie taki dyabeł straszny jak go malują! Okazała się dla mnie lepszą niż dla siebie, bo nie ma ani jednego kwiatka w jej salonie. Mówiła to nachylona nad ślicznym białym hyacyntem którego woń rozchodziła się po całym pokoju.

Ale czy to *miss Burnet* ma za to podziękować? Przypomniała sobie nagle kwiaty przyozdabiające jej dawniejszy salonik, o których pochodzenie nigdy nie śmiała zapytać. Spojrzała przypadkiem w lustro, a widząc rumieniec występujący jej na twarz, odwróciła się szybko jakby chciała przed kimś ukryć swoje pomieszanie.

Wesoły ogień palił się w obydwóch pokojach, w których już jej służąca wyjmowała z kufrów rzeczy. Ida wzięła natychmiast swój kalendarz i powiesiła go nad łóżkiem, tak, aby go mogła widzieć skoro tylko otworzy oczy. Potem ułożyła książki, a następnie zaczęła pisać list do wuja, powstrzymując się usilnie — może niezupełnie skutecznie, od udzielania mu rad i napomnień. Chciała szczerze zastosować się do raz powziętego postanowienia, pomimo to odczytując list przekonała się że jej się to niezupełnie udało, posłała go jednak, wiedząc że już zbyt późno aby mogła napisać drugi.

. . . .

Było to wieczorem po obiedzie, który przeszedł niezbyt przyjemnie tak dla jednej jak dla drugiej strony; jeźli mówili, musieli pamiętać o tem ciągle aby nie dotknąć jakiegoś drażliwego przedmiotu, skoro milczeli, już samo to milczenie stawiało ich w przykrem położeniu. Ida odetchnęła swobodniej wtenczas dopiero gdy usiadła w salonie przy kominku obok mis Burnet, z którą rozmowa nie była wcale zajmująca i ożywiona. Zamyślony jej wzrok błądził po salonie, urządzonym przez tapicera systematycznie, na wzór tysiąca innych, gdy nagle usłyszała zapytanie, na które trudno jej było odpowiedziéć:

— Gdzież jest Jan?

— Nie... nie wiem, odpowiedziała Ida zmieszana.—Czy zwykle przepędza wieczór razem z panią w salonie?

— Zawsze, skoro jest w domu. Wymagam tego koniecznie. Proszę cię, zadzwoń.

Ida spełniła jej życzenie, i służący wszedł natychmiast.

— Powiedz panu żeby tu przyszedł, rzekła rozkazującym tonem.

— Pan doktor kazał przeprosić panie, ale nie może przyjść bo jest bardzo zajęty, rzekł po chwili służący.

— Zajęty? Niedorzeczność. Cóż to za tak bardzo pilne zajęcie?

— Pan doktor nie powiedział mi tego.

Przyniesiono herbatę. Miss Burnet odezwała się znowu:

— Powiedz panu że już podano herbatę.

W parę minut później służący wrócił z odmowną odpowiedzią.

— Pan doktor prosi aby mu pani przysłała filiżankę herbaty. Nie może przyjść do salonu.

— Nie może przyjść? Idź zapytaj się dla czego?

Posłaniec wrócił wkrótce z tą samą co po raz pierwszy odpowiedzią.

Widocznie miss Burnet uznała się zwyciężoną, bo nie nalegając dłużej, nalała filiżankę herbaty i wrzuciła w nią z miną niechętną i zadąsaną parę kawałków cukru, potem usiadła na fotelu, przez kilka minut zdawała się nad czemś rozmyślać, a potem odezwała się nagle:

— Doprawdy, możnaby sądzić że to ty go ztąd wystraszasz rzekła patrząc na swą towarzyszkę, której twarz przez cały ten czas wyrażała przykre zakłopotanie.

XIV.

Gęsty śnieg padał przez całą noc, a gdy Ida nazajutrz o ósmej rano zbiegła na pierwsze śniadanie, zastała już przy stole miss Burnet i doktora, rozmawiających o konieczności oczyszczenia dachu ze śniegu.

— Wypadałoby wziąść robotników przywykłych do podobnych robót, rzekł doktor.

— Posłałam już po starego Joela, odpowiedziała.

— Czy nie przypominasz sobie, rzekł z lekkim uśmiechem, że kiedy go wezwałaś ostatni raz, był tak pijany, że nie mógł wziąść się do roboty.

— Przypominam sobie że tak mówili nieprzyjaciele tego biedaka, odpowiedziała zimno

— Chciałbym cię przekonać Kamo...

— Nie przekonasz mnie nigdy że trzeba odwrócić się od starego znajomego, dla tego że jest nieszczęśliwym, odrzekła. Nie mówmy już o tem. Posłałam po Joela.

Wzruszył lekko ramionami i zaczął mówić o czem innem. W godzinę później, kiedy Ida czytała w salonie list który jej oddano przed chwilą, rozległ się nagle taki odgłos jakby jakiś ciężar spadł na ziemię.

— Ah! zawołała z przestrachem miss Burnet, to zapewnie Joel spadł z dachu!

Pobiegła na schody, a przerażona Ida podążyła za nią. Zastały wszystkich służących w wązkim korytarzyku prowadzącym do łazienki pana Burnet'a, i pokrytym szklanym dachem. Dzięki protegowanemu miss Burnet, właśnie ta część oszklonego dachu została uszkodzoną, i mnóstwo kawałków szkła spadło na podłogę. Widać że w przystępie wesołości rzucił na szyby bryłę zmarzłego śniegu, lub cisnął na nie łopatę.

— Czy przynajmniej biedak nie pokaleczył się bardzo? zawołała miss Burnet.

— Dzięki Bogu, nie stało mu się nic złego, odpowiedział jej brat zimno; szkoda że nie mogę powiedzieć także tego o moim dachu.

Nie uczynił jej żadnej innej wymówki. Wracał już do swego gabinetu, gdy przypadkiem oczy jego spotkały się z pełnemi blasku oczyma Idy, które pomimowolnie zwróciła na niego z wyrazem współczucia i podziwu nad jego cierpliwością.

Pierwszy to raz dopiero dusze ich porozumiały się z sobą i przemówiły do siebie życzliwie; znikł na chwilę istniejący między nimi przymus, ale niestety, wrócił prawie natychmiast.

— Chciałabym pomówić z panem, rzekła Ida, patrząc na szkło leżące na podłodze. — Odebrałam właśnie od państwa Tarlton bilecik zapraszający mnie na śniadanie... Może pan przypomina sobie że widział ich w Marlowe?...

— Tak, tak, pamiętam, odpowiedział śpiesznie jak oboje czynią to zwykle, gdy są zmuszeni wspomnieć o swem pierwszem widzeniu; potem dodał z zimną grzecznością: — I owszem, niech pani przyjmie! Bardzo mnie to cieszy.

Mówił to już odchodząc. Ida żądała jego zezwolenia, ale dotknęło ją to niemile że udzielił je z takim, jak jej się zdawało, wyrazem zadowolnienia.

Byłby też mógł lepiej ukryć swą radość że się mnie pozbędzie na pół godziny, pomyślała z goryczą wchodząc na schody.

Tarltonowie mieszkali jeszcze w hotelu Garland, i gdy miss Latimer przybyła, wprowadzono ją do obszernego salonu na pierwszem piętrze. Gdy służący oznajmił jej przybycie, młoda osoba wyglądająca przez okno na dziedziniec hotelowy, odwróciła się żywo z radośnym okrzykiem:

— A! jesteś przecie! Zadawaliśmy sobie właśnie pytanie czy twój dozorca zechce cię wypuścić z więzienia.

— Mój dozorca? powtórzyła Ida z zadziwieniem. Jaki dozorca? O kim mówisz?

— *Jaki dozorca?* powtórzyła śmiejąc się Zofia Tarlton; czy masz więcej niż jednego? Mówię o twoim opiekunie; o tym intryguncie, doktorze twego ojca, mówiła dalej uszczypliwym tonem, którego mi opisywałaś gdy byłam u ciebie.

— Ja przedstawiłam ci go w takiem świetle? rzekła Ida zdumiona.

— Tak, znam go tylko z twego opowiadania; z twoich więc słów wnoszę, że, jak to mówią, pocciwszych od niego wieszano. Czy zapomniałaś już o tem?

— Przesadzasz! zawołała z niecierpliwością Ida. Strasznie przesadzasz; nigdy nie wyrażałam się o nim w ten sposób... Wolałabym uciąć sobie język niż...

Zatrzymała się nagle jakby przestraszona.

— Omyliłam się, jak widać, rzekła Zofia uśmiechając się złośliwie. Przesłyszałam się widocznie. Mówmy o czem innem.

— Gdzie jest Anna? zapytała Ida.

— W drugim pokoju; uznałyśmy obiedwie że łatwiej nam będzie żyć w zgodzie, gdy nie będziemy razem.

— Doprawdy!

— Jest tam z nią kuzyn nasz, Harry Fielding, którego uczy jak ma zawiązywać krawat. Wiadomo ci zapewnie że zawsze tak zaczyna.

W tej chwili uchylono drzwi i ukazała się w nich głowa Anny.

— Ida! zawołała z radością: nie wiedziałam żeś przyszła! Czemu mi nie powiedziałaś? zapytała cierpko siostry.

— Nie chciałam ci przeszkadzać, odpowiedziała opryskliwie Zofia.

— A więc zdołałaś się wymknąć z pod straży twego ludożercy? zawołała młodsza panna Tarlton, nie wiedząca nic o złośliwych żartach siostry. Jakie to szczęście że ci się udało! Musiałaś zapewnie wysunąć się cichutko, na paluszkach. Zofio, czemuż tak mrugasz na mnie?

Szczęściem wejście mistress Tarlton i zawezwanie do śniadania przerwało dalszą rozmowę.

— Gdy siadano do stołu, mistress Tarlton posadziła Idę obok siebie i rzekła uścisnąwszy życzliwie jej rękę.

— Opowiedzże nam wszystko, moja droga, wnosząc z tego co Zofia słyszała od ciebie i powtórzyła nam, musi to być zły człowiek.

Ida zadrżała i nie wiedziała co ma odpowiedzieć. Spoglądała po wszystkich kolejno jakby wzywała ratunku, z którym bezwiednie pośpieszył jenerał:

— Proszę cię Anno, powiedz matce że kotlety są zupełnie surowe.

Anna była zbyt roztropną, aby miała spełnić polecenie ojca lub powtórzyć mu odpowiedź matki:

— Proszę cię Anno wytłomacz ojcu że nie jestem kucharką, nie mogę więc być za to odpowiedzialną.

Możnaby sądzić że wskutek zamiany tak miłych słówek wszelkie rodzinne zebrania u Tarltonów musiały być bardzo zimne i sztywne, ale tak nie było. Panny Tarlton były od dzieciństwa przyzwyczajone do tych utarczek między rodzicami, dla tego też rozmawiały tak swobodnie, jak gdyby nie przycinali sobie wzajemnie.

— Czy można cię odwiedzić? zapytała Zofia przypatrując się badawczo rumieńcom które wystąpiły na piękną twarzyczkę przyjaciółki. Czy ci wolno przyjmować znajomych? Chciałabym koniecznie być u ciebie.

— Nic łatwiejszego, rzekła Ida: mam mój własny salonik w którym mogę przyjmować przyjaciół.

Miss Tarlton nie zdaje się zbyt zadowolnioną z tej odpowiedzi.

— O! to nie dosyć, rzekła. Chciałabym poznać koniecznie *jego* samego. Kiedyż można zastać go najpewniej? Czy wraca do domu na śniadanie?

— Tak, niekiedy... o ile mi się zdaje, odpowiedziała niechętnie.

— Dlaczegoż tak pragniesz go poznać? zapytała mistress Tarlton. Co do mnie, nie życzyłabym zasiąść do jednego stołu z takim nędznikiem.

Ida chciałaby odpowiedzieć, ale nie mogła przemówić. Zanim skończyło się śniadanie, musiała słuchać jeszcze jak użalano się nad jej smutnym losem i być świadkiem oburzenia jenerała, który mając słuch tępy, nie słyszał że już i tak zbyt długo o tem mówiono, i zaczął długo i energicznie wyrażać swoje zdanie o postępowaniu doktora Burnet'a w przeszłości i o czarnych jego zamiarach na przyszłość.

Słowem, te wszystkie dowody współczucia tak rozdrażniły i oburzyły miss Latimer że pożegnała się prawie zaraz po śniadaniu, i uciekła jak mogła najprędzej. Zofia odprowadziła ją aż do drzwi.

— Mówiłam seryo, rzekła opierając rękę na klamce; przyjdę za parę dni najdalej, gdyż chcę przekonać się o wszystkiem naocznie. Bądź zdrowa! Zapewnie podają u was śniadanie koło drugiej?

XV.

Ida wsiadła do powozu przygnębiona i przez całą drogę do domu płakała nad swą niegodziwością. To tylko ją pocieszało trochę iż pozostawiła Zofię w mniemaniu że jedzą śniadanie o drugiej.

. . . .

Pan doktor kazał powiedzieć że mu bardzo przykro że i dziś jeszcze tak zajęty pracą że musi pozostać u siebie, i prosi aby mu pani przysłała filiżankę herbaty.

Filiżanki stoją uszykowane na tacy; woda syczy w błyszczącej urnie pod którą palił się spirytus. Pospuszczano firanki; jaskrawe kwiaty na dywanach i pokrycia na kosztownych meblach, to ukazują się w całej swej okazałości, to przybierają mniej wyraźne barwy, przy zmiennym blasku kominkowego ognia. Papuga; która przez całe pół dnia krzyczała przeraźliwie, teraz spała rownie jak kot i sama miss Burnet; tylko że ta ostatnia przebudzona wejściem służącego, zerwała się z fotela, i zapominając o katarze zrzuciła szal z siebie.

— Znów! zawołała z gniewem. To już nie do wytrzymania! Idź, i powiedz panu że ja chcę aby tu przyszedł!

Służący wyszedł; Ida i miss Burnet oczekują niecierpliwie powrotu posłańca. Nie wraca. Po upływie może dziesięciu minut, miss Burnet odezwał się zimno:

— Proszę cię zadzwoń.

Nie zastanowiła się nad tem że dzwonek był tuż przy niej a daleko od Idy. Skoro służący wszedł zapytała go surowo czy spełnił jej polecenie.

— Tak pani.

— Cóż pan odpowiedział?

— Nic.

— Czy tak?

Nastąpiło znów milczenie, ale teraz nie oczekiwały już na nikogo. Ida zaczęła coś czytać, ale w pół godziny może odezwała się z pewnem oburzeniem: Zdaje mi się że doktor Burnet nie dostał jeszcze herbaty?

— Może się bez niej obyć! nie umrze z tego powodu! odpowiedziała cierpko miss Burnet, która przez ten czas piła spokojnie swoją, a następnie podała filiżankę Idzie, by ta postawiła ją na tacy; potem włożyła na głowę kapturek i zasiadła się głębiej w fotelu aby jej spać było wygodniej.

Zasnęła wkrótce, jak to można było poznać z jej cichego i spokojnego oddechu, gdyż miss Burnet czuwając sapie bardzo głośno. Ida wiedziała już o tem, położyła też książkę i spoglądała kolejno to na samolubną istotę zasypiającą tak smacznie, to na kociołek z wrzącą wodą, a w końcu powzięła wspaniałomyślne postanowienie.

— Nie może tak być dłużej, rzekła do siebie prawie głośno; nie mogę na to pozwolić, aby dla mnie wyrzekła się swoich nawyknień!

Wstała pod wpływem tej myśli i cicho zbliżyła się do drzwi które otworzyła i zamknęła ostrożnie. Powzięła śmiałe postanowienie i zamierzała spełnić je natychmiast czując że później mogłoby jej zabraknąć odwagi. Dla tego biegła szybko, i zapukała do drzwi, które jej wskazano jako prowadzące do gabinetu doktora. „Proszę wejść!" odezwał się głos za drzwiami, lecz właśnie dźwięk tego głosu przestraszył ją tak, że stanęła drżąca, zarumieniona, i zadawała sobie pytanie, czy nie lepiej będzie uciec, ale już zapóźno!... Drzwi się otworzyły i doktor Burnet stanął przed nią.

— Cóż tam jeszcze? rzekł trochę niecierpliwie; potem zawołał zdumiony:

— Miss Latimer!... Proszę wejść! Może pani zechce usiąść!...

Głos jego zdradzał tak głębokie zadziwienie, że Ida teraz dopiero zrozumiała jak nierozważnym był jej postępek, i zaledwie zdołała odpowiedzieć, zatrzymując się na progu:

— Dziękuję panu... Nie zabawię dłużej nad parę minut.

Niepodobna jej było powiedzieć nic więcej. Burnet widząc to, starał się przyjść jej w pomoc.

— Czy pani potrzebuje czego ode mnie? zapytał grzecznie. W czemże mogę być pani użytecznym?

Czuła że musi zdobyć się na odpowiedź.

— Pan... pan nie pił wcale herbaty, rzekła.

Mówiąc to, rzuciła wzrokiem po gabinecie, który był świadkiem tylu cierpień, a teraz przy sutym ogniu palącym się na kominku, i z dużym stołem założonym książkami i papierami, zdawał się być cichym przybytkiem nauki i pracy.

— Nie piłem herbaty? odpowiedział zadziwiony tą jej niespodziewaną troskliwością. Doprawdy, nie zwróciłem na to uwagi.

Jego obojętność pod tym względem i postawa wyczekująca, jakby spodziewał się że mu powie jeszcze coś innego, dały jej uczuć tem żywiej że zgrzeszyła zbytnią gorliwością, co zmieszało ją jeszcze więcej.

— Domyślam się, rzekł z wyrazem niezadowolnienia: to zapewnie moja siostra przysłała tu panią. Niech pani nie pozwala aby nadużywała jej grzeczności, obarczając panią swemi poleceniami.

— Myli się pan! odpowiedziała z żywością; miss Burnet śpi, i przyszłam tu z własnej chęci.

— Czy tak? zapytał z takim wyrazem jakby oczekiwał jeszcze jakiegoś objaśnienia.

— Tak, odpowiedziała nie patrząc na niego, przyszłam powiedzieć panu że... że... nie życzę sobie... że nie chcę... aby pan wyrzekał się dla mnie swoich nawyknień... doznawał z mego powodu przykrości.

— Ale to nie sprawia mi żadnej przykrości, odpowiedział, a spojrzenie jego zwykle poważne zabłysnęło wesoło, prawie radośnie.

— Niepodobna mi... odezwała się znów usiłując mówić spokojnie i z godnością, niepodobna mi przystać na to abym wypędzała pana z jego własnego salonu!

— Nie użalam się na to bynajmniej. Bardzo mi tu dobrze.

Powiedział to tak naturalnie, a gabinet jego zdawał się tak wygodnym, że Ida nabrała upokarzającego ją przekonania że mówi to zupełnie szczerze.

— Słyszałam... rzekła z pewnem rozdrażnieniem, mówiono mi... że przed moim tu przybyciem... przepędzał pan zawsze wieczór w salonie.

— Jedynie dla tego, odpowiedział wzruszając lekko ramionami, że siostra moja nie lubi być samą, teraz zaś może korzystać z towarzystwa pani.

— Bądź co bądź, powiedziała Ida usiłując odzyskać dawniejszą swą pewność, lepiej wrócić do tego co było, a dla usunięcia trudności, ja odtąd spędzać będę wieczory u siebie, w saloniku który pan był łaskaw urządzić dla mnie.

W tej chwili była bardzo podobną do tej Idy którą poznał w Marlowe.

— Zechciej pani, proszę bardzo, powstrzymać się od podobnej... śmieszności, odezwał się cierpko i z wyrazem niezadowolnienia. Spojrzał na nią i odwrócił natychmiast oczy, a widząc że zamierza coś odpowiedzieć, dodał: Nie rozpoczynajmy dawnych historyj. Wszakże, przed przybyciem tu pani ułożyliśmy się, że dla ułatwienia naszych stosunków będziemy unikać wszelkiego zbliżenia niewywołanego koniecznością. Czemuż, na miłość Boską! chcesz pani, po upływie dwóch dni, odrzucić jedyne kombinacye, jakie w podobnych okolicznościach, sam zdrowy rozsądek nakazuje utrzymać?

Odzyskiwała zimną krew w miarę jak ją utracał, i rzekła łagodnie ale z mocą:

— Czy dla tego że ten nieszczęśliwy zbieg okoliczności narzucił panu moją obecność, mam być zmuszoną patrzyć spokojnie że to zmienia zwykły bieg twego życia?

Jakkolwiek lęka się zawsze spotkać jego spojrzenie, teraz zwróciła na niego swe piękne, błękitne oczy, jakby chciała aby tym sposobem słowa jej trafiły prędzej do jego przekonania.

— Ale tak nie jest! pani się myli, odpowiedział z niecierpliwością. Niechże mnie pani nie zmusza do powtarzania tego co już raz powiedziałem, *że mi tu bardzo dobrze.*

Wymówił z takim naciskiem te ostatnie słowa że Ida musiała uczuć się zwyciężoną, i uznać że nalegając dłużej uchlałaby swej własnej godności. Rzekła więc tylko zimno, pochylając lekko głowę:

— W takim razie zechciej mi pan przebaczyć że niepotrzebnie oderwałam go od pracy.

Odeszła i wbiegła prędko na schody mówiąc do siebie:

— Byłby mógł być przyjacielem, ale pozostanie na zawsze nieprzyjacielem.

W salonie zastała wszystko jak zostawiła; woda syczy ciągle w kociołku, a kot, papuga i stara panna zasypiają snem sprawiedliwych. Noc zimna, a Ida wracając ze swej bezużytecznej wycieczki, czuła że jakiś przykry chłód przejmuje nietylko jej ciało ale i duszę. Uklękła przed ogniem z wyrazem zniechęcenia na twarzy, i wsparła czoło na marmurowej ramie kominka. Po niejakim czasie otworzono drzwi, ale Ida nie odwróciła nawet głowy, sądząc że to służący przyszedł sprzątnąć tacę. Obejrzała się dopiero, gdy przebudzona nagle miss Burnet, zawołała tryumfującym głosem:

— A! przyszedłeś przecie! wiedziałam że prędzej czy później głód wywoła cię z lasu.

— I miałaś słuszność, odpowiedział Burnet głosem spokojnym, w którym jednak, zważając dobrze, można było dostrzedz lekkie wzruszenie.

— No! wyrzecz się nadal podobnych fantazyj, powiedziała, odwracając się na drugą stronę aby znów zasnąć.

Ida odwróciła lekko głowę i spoglądając z pewną przyjemnością, na Burnet'a, który usiadł przy stole i rozkładając książkę zaraz ją zaczął czytać. Nie spojrzał ani raz na nią, i nic nie dozwalało wnosić że przybył ulegając jej życzeniu.

Wstała cicho, usiadła blizko opiekuna, i przy świetle tejże samej lampy, czytała dalej jakąś powieść. On nie poruszył się nawet. Gdyby choć spojrzał na nią, łatwiej byłoby jej przemówić do niego. Bądź co bądź, musi zdobyć się na tyle odwagi.

— Dziękuję panu, rzekła cicho i nieśmiało, ale serdecznie. Jestem panu bardzo wdzięczna!

Odpowiedział jej tylko lekkiem poruszeniem głowy, i nie śmiała już przerywać milczenia które on tak widocznie chciał zachować.

XVI.

Zimne dnie lutego wloką się wolno i tak samo upływa życie Idy. Gruba żałoba nie dozwala jej otrząsnąć się w świecie z gnębiących ją nudów. Przejść nagle z życia tak czynnego i tak pełnego różnorodnych zajęć do życia bez celu i bez wytknię-

tego kierunku, byłoby rzeczą bardzo przykrą, nawet dla osoby nie tak czynnej i energicznej jak ona. Nie mogła przyzwyczaić się do tego że nikt w domu nie pytał o jej zdanie, że nie wydawała rozkazów i rozporządzeń służącym, że nie było ani jednej osoby której mogłaby dawać rady lub udzielać napomnienia. Nie ma żadnego obowiązkowego zajęcia; wszystko porusza się koło niej bez jej współudziału, tak dalece że gdyby cały dzień przespała, nie dałoby się to uczuć nikomu. Prawda że pod każdym innym względem nie może się na nic uskarżać. Jej salonik gustownie urządzony, widny, ciepły, czeka na gości którychby przyjąć chciała; ma własny powóz na rozkazy; nie potrzebuje zdawać nikomu sprawy z swych czynności. Wszakże miss Burnet powiedziała jej zaraz pierwszego dnia: „Nie będziemy sobie zawadzać wzajemnie, każda z nas będzie robić co jej się podoba," i trzeba przyznać że sumiennie dotrzymuje słowa.

Stosunki między nią i Burnet'em nie uległy żadnej zmianie, i spotykali się z sobą jedynie przy stole. Zdawało jej się tylko, że w jego zimnej grzeczności dla niej dawało się czuć niekiedy jakieś zniecierpliwienie czy rozdrażnienie, jak to się niekiedy zdarza u ludzi nerwowych gdy są przeciążeni zbytkiem pracy.

Listy, które odbierała z domu, nie przynosiły już jej ulgi w moralnych cierpieniach; od wuja były zbyt pokorne, od Janiny nacechowane jakąś pewnością siebie, która niepokoiła Idę. Nawet myśl że jej niewola jest tylko czasową, nie podwaja jej odwagi i nie doznaje radości wymazując co wieczór jeden dzień ze swego kalendarza.

Już przeszło tydzień upłynął od jej bytności na Sufpolk street, i codzień wstając od śniadania cieszy się, że już panny Tarlton nie zdążą na nie. W końcu zaczęła się już pocieszać nadzieją że Zofia nie szełni swej pogróżki; ale pewnego dnia, gdy siedząc przy oknie z książką w ręku, patrzyła z roztargnieniem na przejeżdżające powozy; drzwi się otworzyły, i dwie panie starannie otulone futrami weszły do jej saloniku, i natychmiast ich twarze, chłodne od zimnego wiatru, zbliżają się do twarzy Idy, ich ręce chwytają jej ręce, a w powietrzu brzmią ich niezbyt dźwięczne głosy.

— Zapewnie już się nas nie spodziewałaś! Sądziłaś że już nie przyjdziemy! zawołały razem.

— Przeciwnie, odpowiedziała Ida z lekkiem westchnieniem. Wiedziałam że przyjdziecie.

— O! to pewno że nie mogłybyśmy cię opuścić, zwłaszcza w *takich* okolicznościach! rzekła młodsza siostra, głaszcząc białą i delikatną rękę Idy.

— Byłoby to czemś nagannem z naszej strony gdybyśmy odsunęły się od ciebie *obecnie*, odezwała się starsza biorąc jej drugą rękę.

— Jaki to ładny salonik! zawołała Anna, po tych oznakach czułości. Wszak sama urządziłaś go sobie? Z pewnością nie *on*; tak przynajmniej trzeba wnosić z tego co o nim wiemy... a tam twój sypialny pokój? czy można go zobaczyć?

— Anna chciała koniecznie przyjść tu ze mną, rzekła Zofia skoro tylko siostra jej wyszła do drugiego pokoju. Czyniłam wszystko co mogłam, aby jej to wyperswadować, ale jak wiesz, nie rozumie tego że jej obecność może być czasem zbyteczną. Lecz cóż to ja słyszę? zawołała, gdy rozległ się dzwonek wzywający na śniadanie.

— Sądzę... zdaje mi się że... że to na śniadanie, odpowiedziała niechętnie Ida.

— To być nie może, rzekła Zofia wyjmując zegarek; dopiero pierwsza, a powiedziałaś mi że śniadanie bywa o drugiej.

— Ja tak powiedziałam? zapytała Ida. Musiałaś się pomylić.

— W takim razie musimy cię pożegnać, powiedziała Zofia nie poruszając się z miejsca. Nie masz zapewnie prawa zaprosić nas na śniadanie?

— A ma się rozumieć! zawołała Ida. Nigdy nie odważyłabym się na to.

— Dziwna rzecz! i niemiła także! rzekła miss Tarlton, zasłaniając się z ociąganiem woalką, którą Ida zawiązuje jej z pośpiechem.

W tej chwili służący zapukał do drzwi, mówiąc:

— Pani prosi miss Latimer, aby zapytała czy te panie nie zechcą zostać na śniadaniu.

Ucieszona Zofia odrzuca woalkę.

— Czy przyjmujecie zaproszenie? zapytała Ida o ile mogła najobojętniej.

— Bez wątpienia! odpowiedziała Zofia. Jakże nie miałybyśmy zrobić tego dla ciebie?

Anna milczy, ale szuka ręki którą Ida ukryła w fałdach swej sukni, aby ją uścisnąć na dowód swej gotowości na jej rozkazy. W sali jadalnej zastały już przy stole miss Burnet która nigdy nie czeka na nikogo. Usiadłaby do śniadania o godzinie pierwszej, gdyby nawet wybuchła rowolucya, lub nastąpiło trzęsienie ziemi, może co najwięcej, wydając służącym rozkaz aby uśmierzyli te nieporządki. Miejsce pana domu nie zajęte, co dozwala Idzie pocieszać się nadzieją że nie ma go w domu, i patrzyć z pewną przyjemnością na Zofię, która co chwila spogląda na drzwi niespokojnie.

Jednak nie długo się tem cieszyła, bo zanim siostra miała czas zniecierpliwić się jego nieobecnością, Burnet wszedł i powitał swych gości grzecznem słówkiem i poważnym uśmiechem, podając im tę rękę której nigdy nie podał Idzie.

Gdy usiadł do stołu, nastąpiła chwilka milczenia, w ciągu którego Ida miała czas przypomnieć sobie, że jej przyjaciółki opierając się na tem co słyszały od niej, przezywały go awanturnikiem, ludożercą, nędznikiem. Czuła wyrzuty sumienia i patrzyła na niego pomimowolnie, ciekawa jakie też uczeni wrażenie na osobach tak źle o nim uprzedzonych.

— Spotkaliśmy się już raz z sobą, jakkolwiek pan nie przypomina sobie tego zapewnie, rzekła Zofia ze swobodą osoby żyjącej w świecie, chociaż można było odróżnić w jej głosie pewne zadziwienie.

Patrzył na nią uważnie przez chwilę, i wkrótce żywsze błyśnięcie jego oczu dowiodło że przypomniał ją sobie

— Poznaję panią rzekł. Siedziała pani na ziemi wraz z innemi jeszcze osobami, puszczającemi frygi.

— Które staraliśmy się ukryć gdy oznajmiono pana, dodała śmiejąc się. Jakiż to szkaradny czas był wtenczas! Mówiono nam że w wielu miejscach śnieg był gruby na sześć stóp.

Tak rozpoczęta rozmowa, toczyła się między nimi swobodnie i wesoło aż do końca śniadania. Ida nie mogła dobrze słyszeć co mówią, gdyż siedząca przy niej Anna, użalała się dość głośno na ciągłe sprzeczki rodziców i niemiły charakter siostry, lub też zwierzała jej się ze swych *flirtations*. Przykro jej jednak że to idzie im tak łatwo, gdy rozmowa jej z opiekunem ogranicza się na zamienieniu kilku słów zaledwie, na które jeszcze z trudnością zdobyć się mogą. Tymczasem między Zofią i doktorem rozmowa toczy się bez przerwy, swobodnie, wesoło, nie obawiają się spojrzeć na siebie, i nawet śmieją się niekiedy, a jak widać czas musi im ubiegać przyjemnie, bo Zofia zapomina zjeść konfitur stojących przed nią, a doktor że już czas odbyć wizytę w szpitalu, za co odebrał od siostry surowe napomnienie. Pomimo to odszedł dopiero gdy miss Tarlton skończyła opowiadać jakąś anegdotkę, a podając jej rękę na pożegnanie wynurzył żal że musi opuścić ją tak prędko.

— Czy cię to nie drażni gdy Zofia jest tak ożywioną? zapytała młodsza panna Tarlton, wracając wraz z Idą do jej saloniku. Co do mnie, wyznaję że mnie to niecierpliwi. Znać wyraźnie że czyni to dla zwrócenia na siebie uwagi.

— Sza! szepnęła Ida.

— Anno! nie mogę na to pozwolić abyś tak wyłącznie zagarnęła sobie Idę, zawołała Zofia z przesadzoną czułością, gdy już weszły do saloniku. Moja najdroższa, rzekła biorąc obie ręce miss Latimer, mam do ciebie trochę żalu! Zażartowałaś sobie ze mnie! To prawdziwy gentleman.

— Nie powiedziałam tego nigdy że nie jest gentlemanem, odpowiedziała z żywością, rumieniąc się Ida. Nie przypisuj mi tego czego nigdy nie mówiłam.

— Nie byłam nigdy uprzedzoną do ludzi uczonych, mówiła dalej Zofia. Rozmowa z nimi jest zawsze zajmującą, a często bardzo przyjemną; przekładam ją bez porównania nad rozmowę ze światową młodzieżą, która może tylko znudzić.

— Eh! zawołała Anna, nie możesz się znów uskarżać na to aby ta młodzież narzucała ci się tak bardzo ze swą nudną rozmową.

Zofia nie została dłużną w odpowiedzi, i wywiązała się z tego między siostrami mała utarczka, a każda z nich umiała godzić w słabą stronę przeciwniczki.

Osądziły nakoniec że już czas odejść, i pożegnały Idę

— Teraz, kiedy już pierwsze lody złamane, rzekła wesoło Zofia, możesz być pewną że zobaczysz mnie niedługo. Proszono mnie abym znów przyszła, i zastosuję się do tego życzenia.

— Będzie tu przychodzić codzień, szepnęła Anna do ucha Idy. Tak jej się to rzadko zdarza aby ktoś zwrócił na nią uwagę, że dziś nie posiada się z radości.

XVII.

Dzień za dniem ubiega nie przynosząc w życiu Idy widocznej zmiany. W kalendarzu ciągle dni ubywa, ale jej znaczenie w domu nie powiększa się wcale. Próbowała wedle zadawnionego zwyczaju, wyręczać miss Burnet, lub dopomagać jej radą; ale odebrała tylko krotką i odmowną odpowiedź:

— Bardzo to grzecznie z twej strony, ale prawdę mówiąc, nie lubię aby ktoś mieszał się do moich interesów.

Brat miss Burnet zdawał się podzielać jej zdanie. Co prawda, Ida nie występowała już do niego z jakiembądź żądaniem. — To tylko ustępstwo czyni dla siostry, że jeżeli jest w domu, co niezbyt często się zdarza, schodzi na herbatę do salonu z książkami w ręku; ale wyszłoby na jedno gdyby pozostał u siebie, bo zaledwie usiądzie przy stole otwiera książkę i nie odrywa od niej oczu aż do chwili w której Ida wstając daje do zrozumienia że już czas udać się na spoczynek, wtenczas i on podnosi się także, i podaje jej ceremonialnie lichtarz. Szara papuga, najgadatliwsza istota w domu, wieczorem śpi spokojnie w swej klatce, i głęboka cisza panuje w salonie.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 36.

N. 1—2. Serweta wyszywana na płótnie. Patrz ryc 13. w N. 35. Desenie na arkuszu fig. 25—31.

Deseń wyszycia naśladowany jest podług deseni z szesnastego stulecia; na tle z grubego płótna rozrzucony rzucik i zwierzęta odznaczone kolorowemi konturami i zapełnione różnego rodzaju ściegami, mocnemi dobremi nićmi. Wyszycie kratek tworzących ramki w około zwierząt, wskazane na fig. 25—26 na arkuszu z krojami i na ryc. 13 w N. 35, jest to nowy rodzaj ściegu plecionego, tworzącego rodzaj kratek wyszytych czterema rzędami ściegów. Ażeby ściegi były równe potrzeba odznaczyć kropkami, przy pomocy odpowiedniego szablonu; wyszywa się najpierw przez dwa górne rzędy kropek, następnie idą ściegi przez dwa dolne rzędy i tworzą jakby greckie ząbki, poczem ząbki górne i dolne łączy się kratką, wyszytą podług nitki, zakończonej strzałką, na ryc. 13 w N. 35. W małych kwadracikach ściegi dane są trochę odmienniej, jak to wskazuje fig. 26. Wyszywszy pierwsze rzędy ściegów tworzące kratki, daje się ściegi okrągławe, jakby plecione, wskazane również na ryc. 13. Wzory do wyszycia zwierząt wraz z odznaczeniem rozmaitych ściegów daliśmy na arkuszu z krojami; kontury odznaczone są ściegiem sznureczkowym, można je również wyszyć łańcuszkiem, do zapełnienia środków zastosować można wszelkie odmiany ściegu luźnego, kratki, ścieg cierniowy, płaski i t. p. Brzegi serwety zakończone koronką nicianą ręczną.

N. 8 Kapelusz „Directoire” dla młodej osoby.

Model z florenckiej słomki, z rondkiem wysoko podniesionem z przodu, a z tyłu odwiniętem, ma główkę szeroką, prostą 5 cent. wysoką. Na podszycie marszczone użyta materya surah; skromne przybranie składa się z wielkiej muślinowej kokardy z koronką i z bukietu róż.

N. 9. Kapelusz dla małej dziewczynki. Krój na arkuszu N. XVI, fig. 57—58.

Podług fig. 57 kraje się bufiastą główkę kapelusika z batystu lub cieniutkiego perkalu, dla sztywności podkłada grubym muślinem i fałduje brzegiem odpowiednio do obwodu rondka. Fig. 58 przedstawia formę rondka, na które potrzeba skośnego, podwójnie wziętego kawałka 133 cent. długiego a 12 szerokiego, w który do nadmarszczenia wszywa się cieniutkie trzcinki lub druciki; z brzegu rondka zostawiony nagłówek 2 cent. szeroki. Na zszyciu rondka z główką ufałdowany jest skos z tego co kapelusz materyału. Końce do wiązania z wstążki kolorowej idą do wierzchu główki.

N. 10. Kapelusik pamela dla małej dziewczynki.

Ma rondko podszyte marszczonym białym atłasem, otoczone z wierzchu wianeczkiem kwiatów. Kokarda i opasanie z wstążki 6 cent. szerokiej.

N. 11. Kapelusz „Bébé” dla młodej osoby.

Małe lekko odstające rondko podszyte jest marszczonym, blado-żółtym atłasem, z którego dane szerokie końce do wiązania. Szeroka koronka hiszpańska zszyta brzegami do środka, przysłania wianek z wielkich róż żółtawych, z pod którego również wysuwa się koronka.



N. 1. Ubranie z draperyą koronkową.

N. 2. Ubranie z draperyą szalową i z pelerynką. Plecy na ryc. 29 w N. 39. Model kroju draperyi na r. 17 w N. 38, krój pelerynki podług r. 21 w N. 18.

N. 3. Suknia z tuniką i wyciętym stanikiem dla małej panienki.

N. 15—17. Koszule nocne dla dzieci. Krój do r. 15 i 16 na arkuszu N. XIII, fig. 47—51.

Różnica w koszulkach nocnych dziecinnych jest tak mała, iż krój koszulki dla dziewczynki łatwo zastosować się daje dla chłopca. Koszulka dla chłopca ma stan prosty niedoszyty u dołu na szwach bocznych. Krając koszulkę dla dziewczynki, potrzeba naddać 12 cent. na 6 zakładek przednich; rękawy u dołu wszyte w pasek 4 cent. szeroki a 18 długi.

N. 18—19. Kołnierzyk ze szmizetką i mankiet. Krój na arkuszu N. VII, fig. 19—20.

Szmizetka do kwadratowo wyciętych sukien, zapinana z tyłu, ma dodany garnirunek którego brzeg oznacza linja prosta na fig. 19. Wykrój szmizetki z tyłu i z boków oszyty wszywką i riuszą tiulową; na szwach naszyty wąziuteczki hafcik; przybranie przednie składa się z wszywki danej środkiem i z dwóch rzędów riuszy koronkowej. Odpowiedni do tego mankiet wykrawa się ze sztywnego tiulu i garniruje tak samo riuszą, dając wszywkę w środku.

N. 21. Majteczki dla dziecka.

Krają się podług fig. 18 i mają z boku rozporki zostawione do *p* i podszyte listewką, mocno zastębnowaną u dołu. Górny brzeg majteczek przymarszcza się odpowiednio i wszywa w pasek 4 cent. szeroki, opatrzony dziurkami do przypięcia do staniczka. Dolny brzeg również przymarszczony do 29 cent. oszywa się wstaweczką haftowaną i falbanką.

N. 22. Majtki dla dziewczynki. Krój (lat 8—10) na arkuszu N. VIII, fig. 60.

Na maleńkim formacie kroju fig. 60 oznaczona jest linją kropkowaną, zmiana jaka zachodzi w formie podanej przy ryc. 28 dla starszej panienki. Dolne brzegi majtek marszczą się do 38 cent. szerokości i wszywają w pasek 4 cent. szeroki, zastębnowany w skośne zakładki, u góry i u dołu otoczony hafcikiem.

N. 23. Majtki dla panienki lat 12—14. Krój na arkuszu N. XII, fig. 45—46; deseń fig. 70—74.

Pasek z przodu gładki ścięty w ząb, którego połowę podaje fig. 46, z tyłu dopełniony wązkim prostym paskiem dającym się ściągać na tasiemkę. Hafcik u dołu odrobiony wprost na majtkach podług deseni danych na fig. 70—74.

N. 24. Koszulka wycięta dla maleńkiego chłopczyka. Krój na arkuszu N. III, fig. 11—12.

Tem się różni od koszulki dla dziewczynki, że z przodu ma gładko zastębnowane zakładki, a przy szwach bocznych u dołu wszyte trójkątne kliniki; brzeg rękawka wszytego od W do Z, przykrojonego podług fig 12 obrąbiony szeroko, wykrój szyi zaś podszyty listewką skośną, nawleczony na tasiemeczkę do wiązania.

N. 25—26. Koszulki dzienne dla panienek lat 7—14. Krój na arkuszu N. IV i V, fig. 13—17.

Rycina 26 przedstawia koszulkę dzienną dla panienki lat 12—14; po wszyciu rękawków w stan od *a*—*c*, górny brzeg stanu marszczy się z przodu od dwukropka do gwiazdki, a z tyłu w całej długości i wszywa w karczek. Rycina 13—14 dają desenie haftu na karczku. Koszulka ryc. 25, dla dziewczynki lat 7—10 ma rękawki bufowane; stan kraje się podług fig. 16 w jednym ciągu i nie zszywa na ramionach; wykrój szyi nastębnowany w pasek $2^1/_2$ cent. szeroki, oszyty koronką.

N. 29. Koszula z okrągłym karczkiem, dla panienki lat 12—15. Patrz ryc. 21—22 w N. 35. Krój na arkuszu N. XII, fig. 52—55.

Fig. 54 daje formę przedniego karczka ozdobionego na środku z przodu haftem wskazanym na ryc. 21 w N. 35. Tylna połowa stanu wszyta w węższy karczek podług fig. 55.

N. 30. Koszulka z nieodcinanemi rękawkami, dla dziewczynki lat 5—7. Krój na arkuszu N. XV, fig. 56.

Koszulka ta ma stan krajany w jednym ciągu z rękawkami, górny brzeg przymarszczony drobniutko, zamiast karczka oszyty jest wszywką przystębnowaną listewkami wąziutkiemi; w górną dla mocy wsunięty jest sznureczek.

N. 31. Suknia z draperyą. Krój na arkuszu N. IX, fig. 22—23.

Rycinat 31 przedstawia suknię z sa ynki gładkiej i deseniowej, garnirowaną koronką 6 cent. szeroką. Stanik z baskiną ma dodaną z przodu kamizelkę z gładkiego materyału, ściętą bawetowo do dołu, u góry 19, w pasie 8 c. szeroką, oszytą grubą wypustką i ogarnirowaną koronką. Karoczko dodane z tyłu przy staniku podługfig. 22 litery *d* i upina podług fig. 23, przedstawiającej plecy sukni; trzy rogi karoczka ogarnirowaae są koronką, czwarty jest ściśle sfałdowany, złożony gwiazdką do gwiazdki i zwrócony w górę. Obie części draperyi z przodu (patrz litery *a* i *b*) są trzykrotnie ogarnirowane koronką, sfałdowane i przyszyte wprost na spódnicy; prosty bryt tylny (*c*) u góry wszyty w pasek wraz z suknią i podpięty podług znaków. U dołu sukni dane drobniutkie plisowanie 3 c. szerokie i falbana 19 cent. szeroka złożona w kontrafałdy.

N. 32-33. Suknia z bluzką.

Stanik bluzkowy z zaszewkami z przodu, zapinany jest z boku a z przodu zdobny plastronem fałdowanym, oszytym szeroką gipiurową koronką. Plecy stanika, jak to widzimy na ryc 33, są także fałdowane lub przemarszczane, odpowiednio do plastronu. Spódnicę pokrywają naprzemian falbanki plisowane 8 cent. szerokie i lekko naddana koronka gipiurowa. Na krótką draperyę prze-

dnią potrzeba prostego kawałka materyału, zaszytego w górze odpowiednio do figury, z boków zebranego w fałdy; z tyłu upięty rodzaj szarfy na którą potrzeba prostego bryta 75 cent. szerokiego, oszytego koronką.

N. 34 i 49—50. Długi płaszczyk. Krój na arkuszu N. X, fig. 32—38a.

Ryciny 34 i 49 przedstawiają bardzo elegancki płaszczyk, odpowiedni na dni chłodniejsze, odrobiony z czarnego atłasu z aplikacyą z cieniutkiego czarnego sukna, naszytą łańcuszkiem; matowe, ciągnione liście deseniu, efektownie odznaczają się na świecącem tle atłasu. Na r. 50 dajemy w naturalnej wielkości wzór aplikacyi; naszyć ją można ściegiem łańcuszkowym lub w maszynie, przed zszyciem paletota. Płaszczyk z podszewką atłasową kraje się podług fig. 32—34, a zestawia podług zmniejszonego formatu kroju f. 32a do 38a. Kołnierz wykładany i mankiety z gładkiego atłasu; kokarda z wstążki atłasowej 9 c. szerokiej.

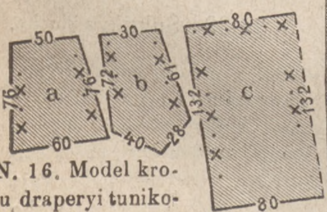
N. 35-36. Suknia z bluzką i paskiem Medicis, dla panienki lat 12-15. Krój na arkuszu N. XI, fig. 39-44a.

Pasek taki przy staniku bluzkowym bardzo ładnie odznacza wcięcie figury; suknia przedstawiona na ryc. 35 i 36 jest z perkalu gładkiego i w paski. Na fig. 44 wskazujemy krój tuniki, z jednego boku podpiętej kokardami; bluzkę kraje się podług f. 39 i 40 najpierw z podszewki i dopasowywa do figury, kra-



N. 14. Sukienka princesse z plastronem dla dziewczynki lat 6-8. Patrz plecy ryc. 15.

jąc z materyału zwierzchniego trzeba naddać na przymarszczenie w pasie i przy wykroju szyi; rękawy podług fig. 41 przykrajane, przemarszczone



N. 16. Model kroju draperyi tunikowej do ryc. 9 i 27 w N. 39.



N. 4. Poduszka na mały kuferek. Haft sznureczkowy i płaski. Część deseniu do haftu w naturalnej wielkości na ryc. 5.



N. 6. Książeczka do notatek.



N. 7. Rękaw z przemarszczaniem i gładkim mankietem.



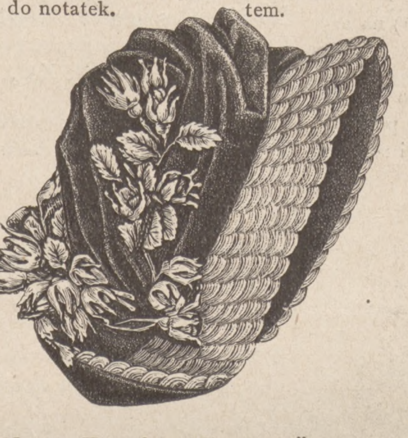
N. 9. Kołnierzyk „Colbert" z kokardą.



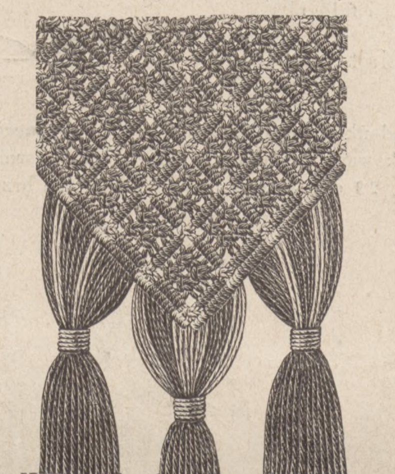
N. 8. Rękaw z przemarszczaniem i wywiniętym mankietem.



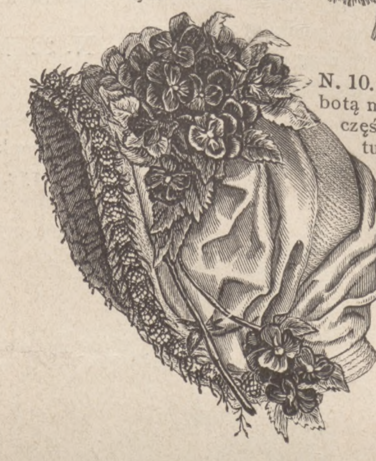
N. 10. Woreczek robotą macramé. Patrz część roboty w naturalnej wielkości na ryc. 11.



N. 12. Kapotka „Miss Lucy".



N. 11. Część roboty macramé na woreczek ryc. 10.



N. 13. Kapotka „Niniche".



N. 5. Deseń do haftu na poduszkę ryc. 4.

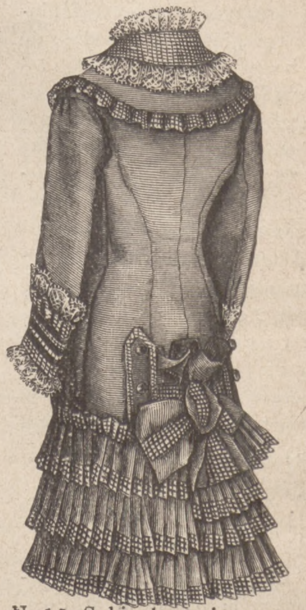
są również u góry i u dołu. Pasek (fig. 43) zapinany z tyłu, szyje się na sztywnej podszewce i ma dodane fiszbiny.

N. 37. Szlak. Ścieg krzyżykowy perski obwodzony z brzegów.

Rycina 24 w N. 35 wskazuje w jaki sposób wyszywać krzyżyki, z lewej strony odznaczające tylko rzędy stębnówki, przez co wychodzi mniej materyału do wyszycia. Wyszywając różne części deseniu niektóre rzędy ściegów dają się wzdłuż inne poprzecznie, co urozmaica robotę. Obwodzenie dane ściegiem stębnowanym, odznacza równo kontury deseniu, a z pojedyńczych ściegów formuje kwadraciki; ściegi w robocie krzyżowej perskiej dzielą się równo po cztery na krzyżyk; na grubem płótnie na którem był wyszyty szlak ryc. 37, zajmowały po 6 nitek w kwadrat; wyszywać je można podług deseni na robotę krzyżową. Ryc. 25 w N. 35 wskazuje brzeżek wyszyty u góry i u dołu szlaku, odpowiedni przedewszystkiem do łączenia pasów w robocie lub przyszywania szlaków, z próbki tej widzimy jak się zadzierguje każdy ścieg, tudzież w jaki sposób nitka przy zmianie kolorów przeprowadzona jest środkiem węzłów ściegów.

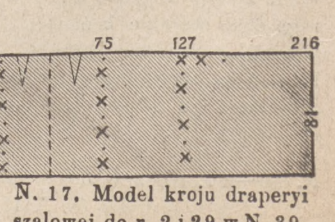
N. 38—39. Negliż „Japonaise" z otwartemi rękawami. Krój na arkuszu N. XIX, fig. 61—63.

Za model do oryginalnego



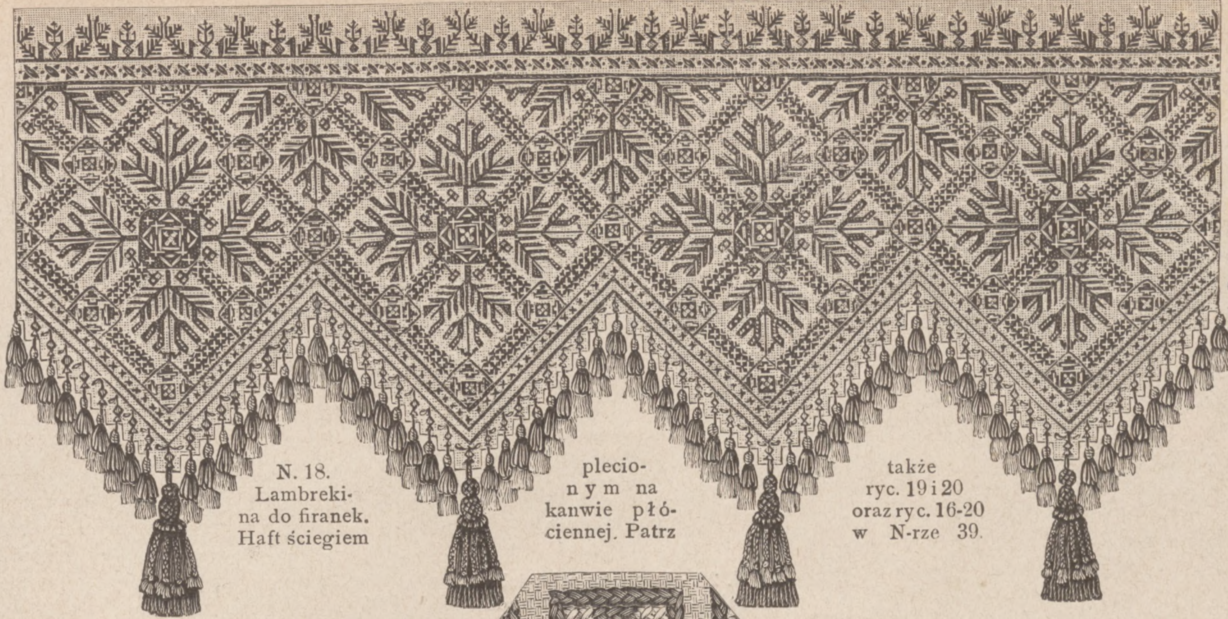
N. 15. Sukienka princesse z plastronem dla dziewczynki lat 6-8. Patrz przód ryc. 14.

negliżu, przedstawionego z przodu i z tyłu na ryc. 38-39, służyła kosztowna japońska suknia, której puszczana forma jest najodpowiedniejszą do rannego ubrania. Na r. 39 podaliśmy negliż z kosztownej



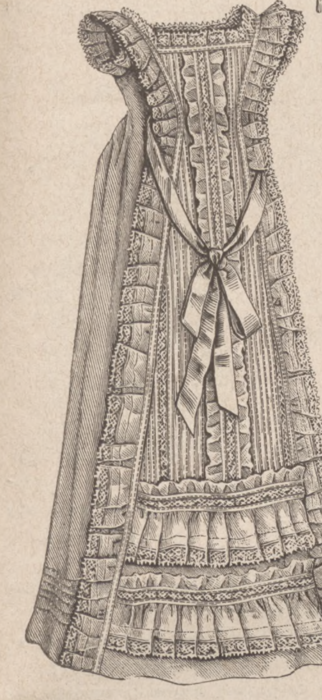
N. 17. Model kroju draperyi szalowej do r. 2 i 29 w N. 39.

białej adamaszkowej materyi (na ponsowej jedwabnej podszewce), w deseń czarny z bronzowym, pokryty haftem w guście japońskim, kolorową pelą, nitką złotą i srebrną. Na fig. 62—63 przedstawione są dwie gałązki z deseniu rozrzuconego na szlafroku. Fig. 61 załącza wskazanie kroju szlafroka w maleńkim formacie, podług którego stosując się do miar podanych



N. 18. Lambrekina do firanek. Haft ściegiem plecionym na kanwie płóciennej. Patrz także ryc. 19 i 20 oraz ryc. 16-20 w N-rze 39.

3 oczek nabrać, a potem naprzemian 2 oczka nabrać tunetańsko i pięć oczek powietrznych na pentelkę, a na końcu rzędu znów 3 oczka nabrać. W 3-cim rzędzie 2 oczka przerobić i naprzemian: 4 oczka przerobić i 1 pentelek, na końcu rzędu znów 2 oczka przerobić. Po skończeniu roboty pentelki przyczepiane są ściegami kolorowemi, podług ryc. 41.

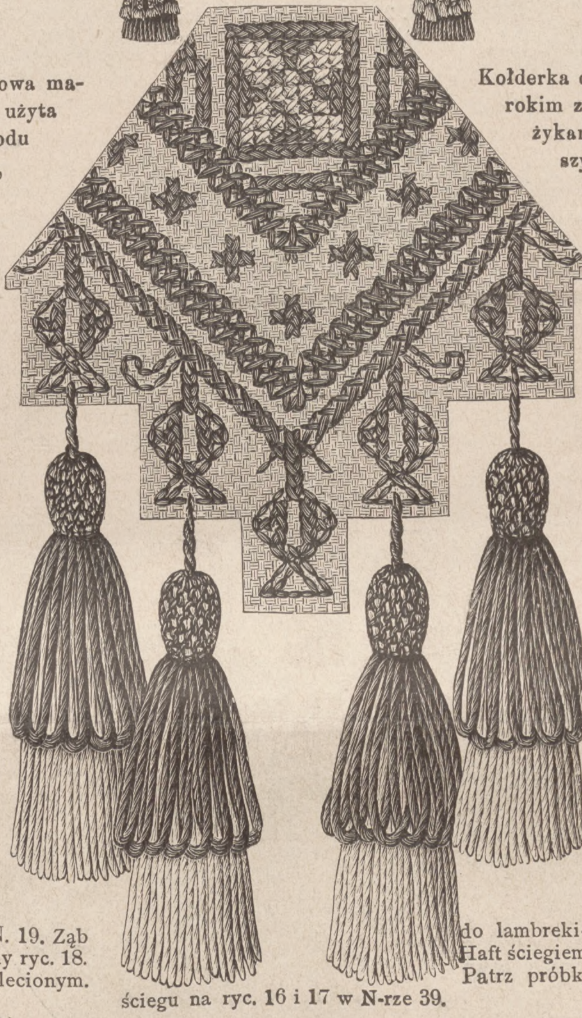


N. 21. Sukienka wycięta dla dziecka noszonego na ręku. Krój podług ryc. 25 w N. 10.



N. 22. Sukienka długa pod szyję dla dziecięcia.

można dopasować formę. Ponsowa materya stanowiąca podszewkę, użyta jest na szeroki wykład z przodu jak również na 8 cent. szerokie, lekko podwatowane dolne obłożenie. Przody i plecy szlafroka krają wjednym ciągu, z długiego bryta materyału, bez szwu na ramionach, dodając tylko z przodu klin *b*. Szew boczny idzie od punktu do krzyżyka; potrzebną szerokość dolnego obwodu otrzymuje się przez dodanie śpiczasto wstawionych plisowanych kliników z gładkiej materyi, które na zszyciu pleców, jak również na obydwóch szwach bocznych, wszyte są od krzyżyka do dołu. Litera *c* oznacza formę długich, szerokich rękawów, od gwiazdki do dwukropka złączonych z szlafrokiem, z przodu od powyższych znaków puszczonych wolno, a z tyłu i u dołu zszytych. Ranwers kraje się podług miar wypisanych na części *d*. Jak to widać na ryc. 39 negliż nie schodzi się z przodu, lecz odsłania suknię spodnią mniej lub więcej ozdobnie odszytą; ta którą podaliśmy była z białego batystu formą princesse, przemarszczona pod szyją, z przodu na wcięciu stanu i u dołu rękawów. Dolna połowa przodu zaszyta w zakładki, przedzielane koronką.



N. 19. Ząb do lambrekiny ryc. 18. Haft ściegiem plecionym. Patrz próbki ściegu na ryc. 16 i 17 w N-rze 39.

Kołderka oszyta szlakiem 12 cent. szerokim z kanwy Jawa wyszytym krzyżykami i obrobionym ząbkami szydełkowemi, przy których przyrobione kulki podług ryc. 40.

N. 42—43. Ubranie do konnej jazdy. Krój amazonki na arkuszu N. XX, fig. 64.

Coraz więcej wchodzi w użycie praktyczny angielski krój amazonki z rozszerzeniem na kolano, powtarzamy go więc w zmniejszonym formacie na fig. 64 i odsyłamy czytelniczki do N-rów przeszłorocznych (kwartał trzeci) gdzie podany był szczegółowy opis i krój całej amazonki. Kamizelka, kołnierz i wykłady u rękawów dodane są z atłasu. Zamiast fantazyjnej czapeczki jak na ryc. 42 lub cylindra za ciężkiego w porze letniej, można używać okrągłego ryżowego kapelusza.

N. 44—45. Rękawiczki do konnej jazdy zapinane na sprzączki.

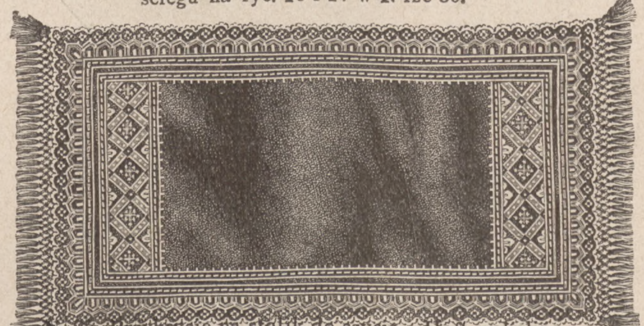
Dla lepszego zrozumienia podajemy oddzielnie na ryc. 45 samo zapięcie rękawiczek, łatwe praktyczne i ozdobne, gdyż sprzączki są metalowe. Paseczek skórzany przesuwa się przez kółko na ruchomej zawiasce i przyciska.



N. 23. Kapelusik atłasowy dziecinny.



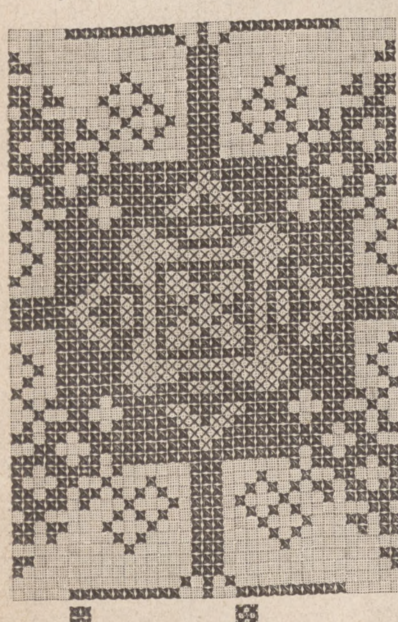
N. 24. Kapelusik kaszmirowy dziecinny.



N. 25. Przykrycie na stolik do szycia. Haft gobelinowy i krzyżowy. Patrz także ryc. 26 i 27.

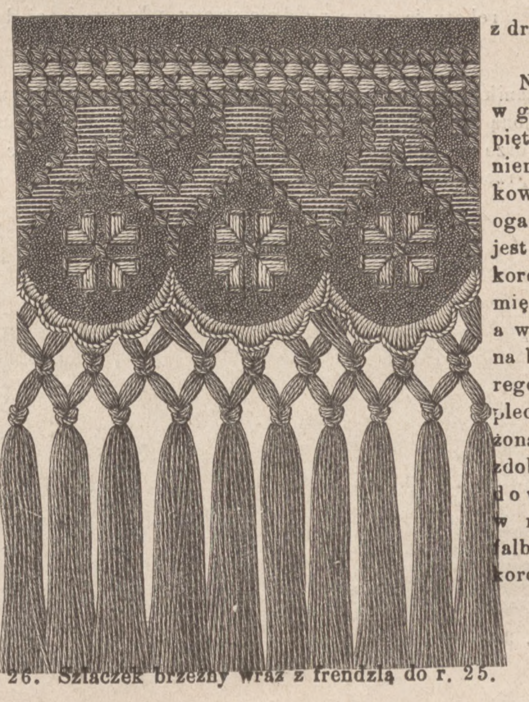
N. 40—41. Kołderka do wózka lub kolebki. Robota szydełkowa i wyszycie. Patrz ryc. 1 w N. 35.

Na ryc. 1 w N. 35 przedstawiliśmy kołderkę, złożoną z roboty szydełkowej i szlaku wyszytego na kolorowej wełnianej kanwie jawa. Tło 73 cent. szerokie a 60 długie, odrobione z białej angielskiej włóczki tunetańskim ściegiem podług r. 41; mieniają się w niem gładkie tunetańskie rzędy, z rzędami wypukłych pentelek, na które nabiera się oczka jak zwykle w robocie tunetańskiej, lecz przerabiając od ręki lewej do prawej robić w 1-m rzędzie naprzemian 4 oczka tunetańskie i pentelkę z pięciu oczek powietrznych; w 2 gim rzędzie



Kolor bordo. Złoto.

N. 20. Deseń na środkowe figury zarabiane złotem do lambrekiny ryc. 18.



N. 26. Szlaczek brzeżny wraz z frendzlą do r. 25.

Opis do N-ru 38.

N. 1. Ubranie z draperyą koronkową.

Na spódnicy z boku w głębokie fałdy podpięty, u dołu plisowaniem i szeroką koronkową riuszą w koło ogarnirowanej, upięta jest z przodu draperya koronkowa, wszyta pomiędzy szwy boczne, a w górze zachodząca na brzeg stanika, którego baskina jest przy pleckach w fałdy ułożona. Przody stanika zdobi garnirunek fałdowany przeszywany w równych odstępach falbankami z wązkiej koronki.

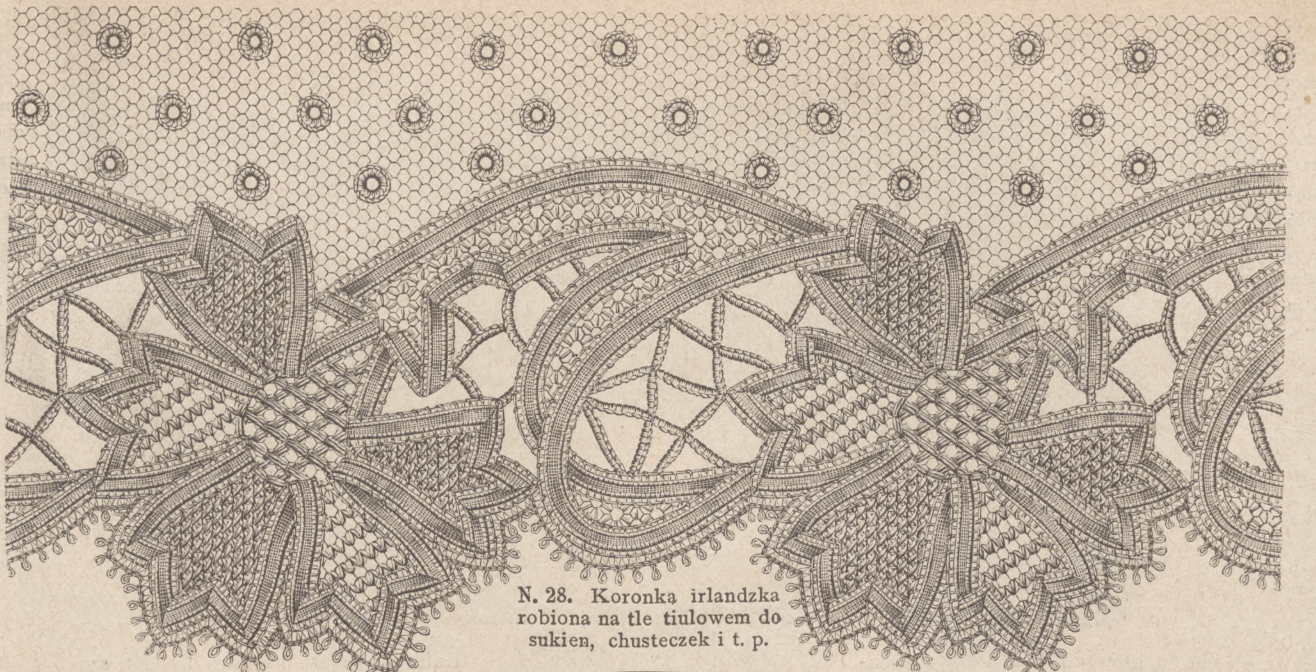


Jasno-brązowy. Bordo. Jasno-niebieski.

N. 27. Deseń na szlak szeroki do ryc. 25.

N. 2, 17 i ryc. 29 w N. 39. Ubranie z draperyą szalową i z pelerynką. Krój pelerynki podług ryc. 21 w N. 18 Tygodnika Mód.

Do sukni z jedwabnego albo wełnianego materyału w kolorze ecru, pelerynka i draperya szalowa, zrobiona była z gazy jedwabnej ecru, w deseń różnokolorowy, obwodzony ściegiem tamburkowym, jedwabiem ciemniejszym. Można jednak draperyę i pelerynkę zrobić z każdego deseniowego, stosownie do sukni dobranego materyału, a brzegi draperyi oszyć deseniową bórtą jedwabną. Spódnica może być jak do ryc. 2, garnirowana naprzemian 5 c. szerokiem plisowaniem i 10 cent. szerokiemi falbankami, w połowie szerokości na bufkę przemarszczanemi, albo też jak na ryc. 29 w N. 39, szerokiemi falbanami w górze kilka razy przemarszczanemi, od dołu zaplisowanemi. Na ryc. 17 dajemy model i miary draperyi w górze na stanik zachodzącej, oraz oznaczamy ilość i miejsca fałd. Od 1 do 75 cent. bierze się na draperyę przednią, reszta służy na upięcie tylne, do którego dodaje się drugi koniec 75 c. długi, w górze sfałdowany i do baskiny pleców przyczepiony. Rękawy ubrać podług r. 3 lub 29, a stanik naszyć z przodu wązkiemi szlaczkami. Pelerynkę przykrojoną podług wyżej wzmiankowanej formy, przemarszczyć w górze sposobem wskazanym na ryc. 29, podszyć fularem, a z przodu związać na sznury.



N. 28. Koronka irlandzka robiona na tle tiulowem do sukien, chusteczek i t. p.



N. 29. Woreczek pompadour ozdobiony robotą ażurową na kanwie. Próbka roboty w naturalnej wielkości ryc. 32 w N. 39.

N. 3. Suknia z tuniką i wyciętym stanikiem, dla małej panienki.

Sukienkę do strojnego ubrania dla małej dziewczynki, odrobić można podług ryc. 3, zarówno z satynki, batystu, lub cienkiego wełnianego materyału. Na spódniczce plisowanej, oszytej szeroką koronką, tunika z przodu upięta z dwóch, nakształt panier zachodzących na siebie części. Bryt tylny w trzy sute bufy podpięty, w górze w fałdy *Watteau* ułożony, zachodzi na stanik aż do wykroju. Przód stanika na kryte haftki zapięty, z boków znacznie do tyłu skrócony, z przodu ozdobiony przemarszczanym plastronem, zakończonym szerokiem plisowaniem, oszytem koronką. Okrągły wykrój pod szyją oszyty marszczoną koronką. Rękawki do łokcia ozdobione przemarszczaniem. Pończochy kolorowe, trzewiki wycięte.



N. 30. Woreczek pompadour ozdobiony robotą krzyżową.

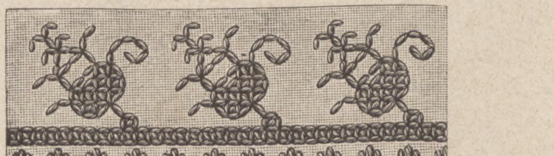
N. 4—5. Poduszka haftowana do położenia na małym kuferku z płaskim wiekiem.

Ryc. 5 przedstawia w naturalnej wielkości część deseniu na poduszkę, do haftu kolorowego do cieniu, filozelą o 3-ch nitkach, ściegami płaskiemi jedne w drugie wchodzącemi, z konturem obwiedzionym ściegiem sznureczkowym.

(D. n.)



N. 31. Kapelusz jesienny aksamitny ozdobiony perełkowem wyszyciem.



N. 32. Wązki szlaczek ze skośnemi gałązkami do roboty ściegiem na dwie strony włoskim i pojedyńczym.



N. 34. Ubranie ranne z krótkiem vêtement.



N. 33. Koszyk toaletowy z przykryciem, ozdobiony haftem i aplikacyą.



N. 35. Ubranie ranne formą princesse.